

Rybnicki MAGAZYN

FUNDACJA ELEKTROWNI RYBNIK SA

NUMER ZEROWY

KULTURALNO – SPOŁECZNY

felietony

art_zdarzenia

przystanek_poezja

teatralne_foyer

z_kamerą_wśród_ludzi

rozmowy_na_dwie_głowy

zrecenzowane...

sport_turystyka

jajka_niespodzianki_czyli...



Tytułem wstępu

Drodzy Czytelnicy_2

Katarzyna Dera

Pierwsza odłona..._3

Paulina Krzysztoporska

Felietony, felietony...

Blok to mój świat_5

Hanna Honysz

Motyl sobie pofrunął..._6

TeTe

Public Relations, Rybnik i Ty_8

Jacek Prochasek

Nie istnieje żaden Budda..._9

Marzyciel

Art_Zdarzenia

Błotne Święto_10

Hanna Honysz

Mały Woodstock_11

Maciek Majewski

Przystanek Poezja

Powtórzenia, smaczki and rock`n`roll_12

Robert Rybicki

Narkotyki, narkotyki_14

Adam Grzelec

Koniec końców_14

Monika Glossowicz

Bar, bar, bar_15

Jakub Skorupa

Teatralne foyer

Kawa z aspartamem..._16

Bruno Bakke

Niecodzienne dylematy_18

Katarzyna Dera

Nie dajmy się nałogom!_21

Beata Pyrek i Maciek Majewski



Z kamera wśród ludzi

Kino dobrych filmów_23

Wojciech Bronowski

Szczęśliwej drogi..._25

Katarzyna Dera

Świat dokumentu_27

Gabrysia Dąbek

Bal z senatorem_28

Meruś

Rozmowy na dwie głowy

Powierzam swoje tajemnice..._30

Beata Pyrek

OSKAR był tuż, tuż..._32

Wojciech Bronowski

Zrecenzowane...

Bella pupa show_33

Beata Pyrek

Regał przedostatniego tchnienia_34

Bruno Bakke

K jak Kuczok_35

Irena

Czarownice, hobbity i piraci_36

Ania

Audioslave – Out Of Exile_37

Maciek Majewski

Fisz/Envee – „Fru!”_38

Maciek Majewski

System OF A Down – Mezmerize_39

Maciek Majewski

Sport_Turystyka

W niedzielę nie ma nas w domu_40

Remigiusz Baliczak

Morawy i bramborowe knedliki..._41

ŁP

Dokąd płyną Rekiny?_43

Jacek Prochasek



Jajka niespodzianki, czyli...

konkurs_47

Magazyn Kulturalno-Społeczny, nr [0], czerwiec 2005. Numer zamknięto 13 czerwca 2005. Nakład: 1000 bezpłatnych egzemplarzy. WYDAWCA: Fundacja Elekrowni Rybnik, 44-207 Rybnik, ul. Podmiejska; tel. 32/7391898; tel./fax 32/7391174; www.fundacja.rybnik.pl; e-mail: sekretariat@fundacja.rybnik.pl. ADRES REDAKCJI: Magazyn Kulturalno-Społeczny, 44-207 Rybnik, ul. Podmiejska; tel. 32/7391898; tel./fax 32/7391174; e-mail: redakcja@fundacja.rybnik.pl. REDAKTOR NACZELNA: Katarzyna Dera. KOREKTA: Redakcja. TYPOGRAFIA, SKŁAD, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: FOMALHAUT, Ewa Gawlik i Wojciech Grzegorzycza; tel. 32/4221798; e-mail: pracownia@emart.com.pl. DRUK: RISANI, Rybnik, ul. Podmiejska, tel. 32/7371837. OKŁADKA: 1 str. – Wojciech Grzegorzycza; str. 213 – Małgorzata Mojżysz; str. 4 – Krzysztof Liszka. GRAFIKI I ZDJĘCIA: Ewa Gawlik i Wojciech Grzegorzycza. Wszelkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych tekstów. Zastrzegamy sobie prawo do zmian i skrótów w prezentowanych tekstach artykułów.

Drodzy Czytelnicy

Oddajemy w Wasze ręce bezpłatny, rybnicki Magazyn Kulturalno — Społeczny. Świat się ciągle zmienia... Rybnik również wpisuje się w ten rytm przeobrażeń. Aby nadążyć i sprostać wszelkim zmianom postanowiliśmy „zaistnieć” i razem z Wami, Drodzy Czytelnicy, ruszyć na przód.

Tego „marszu” nie byłoby gdyby nie złoty sponsor, czyli *Elektrownia Rybnik* oraz *Zarząd Fundacji Elektrowni*. Prezes **Jerzy Chachuta**, wielokrotnie udowodnił, że nie pozostaje obojętny wobec spraw kulturalno — społecznych naszego miasta. Podobnie rzecz ma się z prezesem Fundacji Elektrowni Rybnik — **Stanisławem Wójtowiczem**, którego starania przyczyniły się do publikacji naszego pisma.

Właśnie trafił do Waszych rąk numer „zerowy”. Pilotażowy egzemplarz adresowany jest do wszystkich ludzi, którym nie jest obojętne życie kulturalne naszego miasta i jego najbliższych okolic. Interesuje nas wszystko — zarówno to, co duże i spektakularne, jak i to, co małe, ale dla nas istotne.

Pomysł wydania magazynu pojawił się w kwietniu bieżącego roku. Mimo tak krótkiego czasu, ale dzięki zaangażowaniu wielu osób i organizacji udało nam się wiele zrealizować. Podziękowania z pewnością należą się rybnickim instytucjom, takim jak: *Rybnickie Centrum Kultury*, *Biblioteka Publiczna*, *Zespół Szkół Wyższych*, *Księgarnia EMPiK*, *Rybnicki Portal Internetowy*, *Chwałowicki Dom Kultury* oraz *Młodzieżowy Dom Kultury*. Do pomocy również włączyły się lokalne puby: *Żelazna*, *Art Cafe*, *Celtic*, *Paleta* czy *Tawerna*. Wszyscy wyżej wymienieni pozwolili nam na zamieszczenie ogłoszeń, dzięki którym pozyskaliśmy szerokie grono współpracowników. Dzieli ich wiek, wykształcenie oraz pasje. Z tej różnorodności powstało tak unikatowe, eklektyczne przedsięwzięcie. Prezentujemy pełen wachlarz propozycji. Zaczynając od felietonów poprzez recenzje, poezję, wywiady, film i teatr docieramy do działu o sporcie i turystyce.

foto: Krzysztof Liszka

Naszym gorącym pragnieniem jest uchwycić często niepewną rzeczywistość, bez przesadnej kokieterii, z zaznaczeniem własnego zdania. Czy i w jakim stopniu sprostamy naszym postanowieniom osądzicie sami.

Debiutujemy... Wasze opinie, uwagi i sugestie są dla nas bardzo znaczące. Wszystkie Wasze reakcje skrupulatnie przeanalizujemy. A więc krytykujcie — jeśli jest za co i chwalcie — jeśli coś Wam się spodoba.

Od września bieżącego roku Magazyn będzie miesięcznikiem. Na dzień dzisiejszy dysponujemy nakładem tysiąca egzemplarzy. Nasz apetyt nie został jeszcze zaspokojony. Jest jeszcze wiele działań, które zamierzamy wprowadzić do naszego czasopisma. Mamy nadzieję, że w przyszłości, dzięki finansowej pomocy zainteresowanych, uda nam się zwiększyć zawartość i nakład pisma.

W imieniu wszystkich, którzy przyczynili się do powstania Magazynu życzę miłej lektury i niezapomnianych wakacyjnych wrażeń. Szukajcie nas w zaprzyjaźnionych miejscach, o których wspominałam wyżej.

Oczekujcie nas we wrześniu.

Z pozdrowieniami
Katarzyna Dera
Redakcja

Pierwsza odsłona... Rybnik to nie pustynia

Przechadzając się ulicami Rybnika dostrzegamy delikatne symptomy dobrze zatajonej kreatywności młodych, rozwydrzonych dzieciaków tego miasta. Gdzieś głęboko, pod kilkoma warstwami rzeczywistości, bije serce myśli artystycznej. Podziemie tętni życiem. Niestety, nie każdy jest tego świadom. Młodociągni artyści spragnieni możliwości wyrazu poszukują swojego miejsca, poszukują artystyzmu w rybnickiej społeczności. Wielu z nich błędzi, a nawet rezygnuje z poszukiwań na rzecz wyjazdów do innych regionów przesyconych sztuką. Właściwie jest to niepotrzebne, a nawet szkodliwe — miasto traci często bezpowrotnie utalentowanych ludzi.

Rybnickie podziemie artystyczne funkcjonuje na różnych płaszczyznach sztuki. To niesamowite, że wśród nas powstają prawdziwe dzieła, tak często niedostrzegane. Powinniśmy wreszcie uzmysłwić sobie ogrom potencjału artystycznego naszego miasta. Powinniśmy otworzyć się na sztukę i pokazać tych, żyjących w cieniu. Zwróćmy uwagę na to, co powstaje z głębi „niewyżytych dusz” i angażujemy w rodzającą się bohemę.

Wszyscy odczuwamy potrzebę ekspresji, wyrażenia samego siebie, swoich uczuć, emocji, poglądów. Jedni spełniają się w tańcu, malarstwie, muzyce, rzeźbiarstwie, a jedni w literaturze bądź w aktorstwie. Okazuje się, że twórczość jest doskonałym sposobem na ujawnienie swojej natury. Codziennie spotykamy wśród młodych ludzi wspaniałych twórców, wkładających w swoją „pracę” całe serce. Ich zaangażowanie jest imponujące. Mam na myśli np. DJ Protesta i MC SCH, których działalność klubowa tętni psychodelicznym dźwiękiem rzeczywistości. Deformacja brzmień, jaką prezentuje DJ i ekspresywny wokal Sławka wydobywają ich dziwną naturę, wyjętą niczym z obrazu Salvadora Dali. Efekt muzycznej wirtuozerii jest oszałamiający. Oczywiście, muzyka to nie tylko clubbing. Grzechem byłoby nie powiedzieć o młodych gitarzy-

stach, którzy oświetniają tzw. posiadówki na rynku, w parkach, którzy potrafią pozytywnie wpłynąć na nasze samopoczucie. Większość z nich przeznaczą na doskonalenie swoich umiejętności bardzo dużo czasu, poświęcając się temu w pełni. Krzysztof, grający na gitarze już ładnych parę lat, dostrzega w tym pragnienie współtworzenia rockowej kultury. Wsluchując się w brzmienie kapel, nie chce być poza tym wszystkim, jego celem jest przeniknięcie do środka, do sedna tajemnicy muzycznej.

Nie sposób w tym miejscu nie wspomnieć o działalności grup hip-hop’owych dość poważnie podchodzących do tematu. Wśród licznych miejscowych składów na uwagę niewątpliwie zasługuje Azizi crew, stawiająca Rybnik w całej Polsce. Jest to grupa młodych ludzi, dla których break dance jest sposobem wyrażenia siebie. Niewątpliwie jest to pozytywna forma współczesnej sztuki, której bliżej mogliśmy się przyjrzeć na Ogólnopolskim Turnieju Tańca Break Dance *Bez Spiny*, który odbył się w Teatrze Ziemi Rybnickiej.

Gra ciałem okazuje się bardzo pożądaną formą sztuki. Wszelkie kota teatralne są tego potwierdzeniem. Skupmy się jednak na ulicy będącej zwierciadłem pragnień rybnickiej młodzieży. Rynek jest wielką sceną myśli artystycznej. Podczas trwania roku szkolnego gromadzą się na nim ludzie z różnych środowisk, o różnych zainteresowaniach. Niektórzy siadają na środku rynku, na ziemi wyrażając beztroskę młodości, obojętność na wszelkie komentarze przechodniów. Drzemie w nich potrzeba zaprezentowania swoich osobowości, pragną happeningu. Żywa konwersacja w dobrze znanym gronie jest pierwszym nieśmiałym krokiem w stronę prawdziwego widowiska.

Innym, wydawałoby się bardziej tradycyjnym środkiem ekspresji jest malarstwo, towarzyszące nam na każdym kroku. Fascynujące obrazy towarzyszą naszemu przeżywaniu rzeczywistości niemal w każdym pubie. Wybierając się na piwo do *Art Cafe*, *Celtic’a* czy Palety mamy przyjemność obcowania

z niezwykleymi dziełami nadającymi temu miejscu niepowtarzalny klimat. Zaskakujący jest fakt, że wielu ludzi tworzy własne domowe galerie sztuki, prezentowane tylko nielicznym. Mają one bardzo intymny charakter. Rodzi się zatem pytanie o celowość. Dla większości młodych malarzy obraz stanowi przestrzeń wyrażania swoich najdzikszych emocji, uczuć. Ruch pędzlem odzwierciedla kierunek myśli, drżenie duszy. Dla Ani P., nazywającej samą siebie pseudomalarką, (co raczej wpyływa z wrodzonej skromności) malarstwo jest obnażeniem jej natury. Namalowany obraz jest odrzuceniem wszelkiej maski, jest „nagością” duszy.

Podobne wypowiedzi pojawiają się w odniesieniu do słowa pisanego, które dla wielu stanowi jedyny środek ekspresji. Rybnik niemal pęka w szwach od „piśmiennych”. Ulice przepętnione są młodymi obserwatorami rzeczywistości przetwarzającymi ją na swój własny sposób. Zapisują subiektywne wrażenia w postaci pamiętników, opowiadań, niewielkich form dramatycznych czy powieściowych, w końcu, w formie liryków. Zazwyczaj owe „wypociny” trafiają do szuflad, by tam beztrudno „zakurzyć się” i pomału odejść w zapomnienie. Na pytanie o przyczynę bądź cel pisania odpowiedź bywa równie trudna, jak przy innych aktach twórczych. Stanisław, student filologii polskiej próbując przedstawić swoje stanowisko miotał się między wewnętrzną potrzebą, nie dającą się racjonalnie wyjaśnić, a przetworzeniem świata na swój własny kod myślowy. Powiedział, że pisze wtedy, kiedy nie potrafi się do czegoś zdystansować, kiedy czegoś nie pojmuje, kiedy utkwi w nim jakaś „drzazga”, z którą nie potrafi sobie poradzić. Ernest Bryll ujął to tak: *Poezja może pomóc przeżyć życie, choć niewątpliwie dla niektórych jest zgubna...* Pisane – dodaje Monika, studentka polonistyki – *jest doskonałym sposobem wyrzucenia z siebie emocji, szczególnie tych negatywnych.* Zwraca uwagę na spontaniczny charakter samego aktu. Często pisanie traktowane jest jako forma terapii, tzw. „wygadania się”, ale nie tylko. Dla wielu jest możliwością wyrażenia poglądu, dotarcia do określonej grupy, zaapelowania. Można powiedzieć, że w ten sposób angażują się oni w życie społeczne, kulturowe i próbują odcisnąć na nim swój ślad.

Słowo pisane, jak każdy akt twórczy, przyciąga swoją magiczną, tajemniczą aurą. Poza celami

użytkowymi, spełnia przede wszystkim funkcję estetyczną. To sprawia, że garniemy się do pisania, że „molestujemy” kartki papieru, że znęcamy się nad kolejnymi długopisami, piórami. Pisząc, kreśliśmy własną osobowość, nadajemy określony sens naszemu bytowaniu. Pisanie jest naszą pustynią, biblijnym namiotem spotkania, przystanią, a także wzburzoną morzem, miejscem dzikiego szaleństwa, rozwydrzenia.

Dlaczego zatem nie mielibyśmy ujawnić swoich pasji i pozwolić sobie na zjednoczenie się w jednym wielkim rybnickim środowisku twórczym? Odrzucmy wreszcie bezpodstawne narzekania na „nic nie dzianie się” i wyjdźmy naprzeciw siebie. Wreszcie pojawiło się miejsce, przestrzeń, w której możemy się wyrazić. Wykorzystajmy tamy niniejszego magazynu, wykorzystajmy szansę i zaangażujmy się w życie kulturalne naszej rybnickiej społeczności.

Paulina Krzysztoporska



Blok to mój świat

Jest niedziela, 1 maja, godzina dziewiąta rano. Boguszowickie osiedle Południe jeszcze śpi. Przed całodobowym sklepem monopolowym stoi grupka dziewczyn. Jaskrawe kurtki, odsłonięte brzuchy, na nogach modne adidas. Delikatne makijaże, pasemka we włosach. Mają 14 — 15 lat, wyglądają na znacznie więcej. Kiedy przechodzę obok, jedna rzuca w moją stronę:

— Ej, pożycz 20 groszy.

Wyciągam portfel, pytam na co zbierają.

— No na co, wiadomo, że na fajki — odpowiada szczupluka brunetka w różowej kurtce. Dziewczyny uczą się w gimnazjum. W szkole jakoś sobie radzą, czasem lepiej, czasem gorzej. Wiedzą, że muszą się uczyć. W domu biednie, wszystkie mają rodzeństwo. Matki w większości bez pracy, ojcowie na niepewnych posadach. Chciałyby skończyć szkołę, zdobyć jakiś zawód, wyprowadzić się z domu, najlepiej z osiedla. Są świadome, że tutaj w zasadzie nie mają perspektyw. Wolne dni, takie jak dzisiejszy, spędzają przed blokiem. Rozmawiają, wygłupiają się, czasem zapalają, wypiją wino. Marzenia mają zwyczajne: skończyć szkołę, znaleźć dobrze płatną pracę, fajnego chłopaka...

Tomek niedawno skończył 13 lat. Wygląda jak typowy nastolatek. Czerwona bluza z kapturem, szerokie dżinsy, adidas, krótkie blond włosy. Mieszka z matką na jednym z osiedli w centrum miasta. W tym roku kończy szkołę podstawową. Od kilku miesięcy jest pod opieką kuratora — wagarował, pobit kilku kolegów. Do szkoły przychodzi po obecność. Całe dni spędza na osiedlu lub u starszych kolegów. Zarabiają niezłą kasę na handlu telefonami komórkowymi i sprzętem RTV. Spokojnie starcza im na piwo i papierosy. Tomek, jako najmłodszy, dostaje najmniej. Dla niego to i tak dużo. Pieniądże przechowuje w skrytce w piwnicy, bo matka zabiera mu każdą złotówkę. Chłopak marzy o tym, żeby założyć własną firmę, zarobić dużo pieniędzy i wyrwać się z osiedlowego środowiska. Niestety, grozi mu poprawczak, jeżeli w najbliższym czasie nie poprawi stopni w szkole. Na pytanie, czy nie czuje przed tym strachu, odpowiada, że niczego się nie boi i uśmiecha beztrząsco. Ale uśmiech to tylko przykrywką, pod którą kryje się zraniona dusza dziecka.

— A co na to Twój tata? — pytam. Uśmiech znika z twarzy Tomka. Bez słowa wsiada na rower i odjeżdża...

Michała spotykam nad Zalewem Rybnickim. Uśmiechnięty, wysportowany szesnastolatek. Należy do klubu żeglarskiego, w zeszłym roku zrobił patent, uwielbia pływać. Trzy razy w tygodniu trenuje koszykówkę. Dodatkowo chodzi na angielski i niemiecki. Uczy się w LO, jak mówi, oceny ma raczej dobre. Nie lubi szkoły, woli trenować, ale matka, dyrektorka liceum ostro go pilnuje. Z rodzicami i starszą siostrą mieszka w 4-pokojowym mieszkaniu w okolicy dworca PKP. Po maturze chciałby studiować na AWF-ie we Wrocławiu, a potem prowadzić drużynę koszykarską. Jest ambitny, kocha sport, więc z pewnością mu się to uda. Jego koledzy z klasy palą papierosy, Michał też palił. Przestał, bo zaczął się szybciej męczyć na meczach. Teraz ceni sobie zdrowie i kondycję. Wie, że sport jest jedyną ścieżką do życia, jakie chciałby prowadzić. A chciałby, jak jego trenerzy, cieszyć się szacunkiem młodzieży, zarabiać uczciwe pieniądze. Tyle, żeby było go stać na zakup własnej żaglówki i wyprawę ze swoją dziewczyną po mazurskich jeziorach.

Kolorowe adidas, tzn. „zamszaki”, bluzy z kapturem, kolczyki i rytmiczna muzyka hip — hop to znaki rozpoznawcze młodzieży. Hip — hop szczególnie. Młodzi ludzie znają słowa setek piosenek, to ich swoisty protest song. Ta muzyka jest im bliska z dwóch powodów: po pierwsze nastolatkom podobają się rytmiczne dźwięki, po drugie teksty są niezwykle bliskie ich sercom. Twierdzą, że to piosenki o nich — o pokoleniu wychowanym w erze miejskich blokowisk, supermarketów, komórek i Internetu. Hip — hop, tak jak kolczyki w brwi czy firmowa bluza jest tylko środkiem na wyrażenie własnego ja młodych ludzi. Ta swoista kultura, kultura nastolatków z polskich blokowisk, wraz z ich specyficznym językiem i modą jest częścią polskiej kultury. Tak jak blokowiska są nieodłączną częścią polskiej rzeczywistości początku XXI wieku.

Ale do znaków rozpoznawczych młodzieży blokowisk należą też marzenia. Marzenia o miłości, domku za miastem, dobrej pracy i dużych pieniądzech. Takie, jakie ma większość młodych ludzi...

Hanna Honysz

Motyl sobie pofrunął, Jakby zniechęcił się Do tego świata

Issa

Długo się zastanawiałem, jak zacząć moje pierwsze pisanie. Wiele kombinowania, projektowania — tylko po co? Postanowiłem odpuścić i zacząć poddawać refleksji to, co ostatnimi czasy mogłem dostrzec. Pozwólcie, że przytoczony wiersz haiku będzie doskonałą metaforą moich obserwacji. Będzie naiwnie — bo o M I Ł O Ś C I (do wyboru dużą lub małą literą, zależnie od obecnego stanu).

Miejsce i czas akcji: początek kwietnia — nadal.

Marysia, 25: Całe życie śniła, śniła i śniła o swym księciu, aż sobie go wyśniła. Tego Jedynego. Na Całe (przecież!) Życie. Półtora roku sielanki, wyznań — Jego — Miłości, małżeńskich — wspólnych — planów (brrr!)... i jednego — wieczoru — Wyznania: „przespałem się z inną”. Niefajnie! Jej rzeczywistość tak pieczołowicie budowana stała się mizernym pozorem. W jednym momencie. TRrrrach...

Ot, tak. Prawdziwie — przez — Życie — pisana — Historia. Choć czy na tyle warta by poświęcać jej MOJE PIERWSZE PISANIE w nowym kulturalno-sportycznym miesięczniku? Dajcie mi szansę....

Zosia, 26: Tu związek trwa (przynajmniej w sensie linearnym) od dobrych siedmiu lat (tu przychodzi mi nachalne skojarzenie z filmem „Siedem lat w Tybecie”). Może to i dobra metafora. Związek duchowy, ale trudny, bo tworzony przez ludzi „po przejściach”. I co? Kobieta potrafi wiele znieść, więcej niż większość mężczyzn, ale w końcu zaczyna wędznąć, gdy jej Wody brakuje; gdy facet tej Wody nie dostarcza i zapomina, że pielęgnować związek należy nieustannie. Po prostu zapomina. Po siedmiu latach Zosia TERAZ (właśnie w tym czasie) zrozumiała, że rośliny prowadzi

w konsekwencji do egzystencjalnego unicestwienia. Smutne doświadczenia dwóch osób z własnego bliskiego otoczenia niepokoją, ale jeszcze nie z powodu zbieżności w czasie. Kwiecień jeszcze jednak się nie skończył...

Żeby nie było, że tylko o zranionych kobietach.

Adam, 25: Pierwsza MIŁOŚĆ (tu zdecydowanie dużymi literami). Dwa lata bliskiej znajomości, później pięcioletni, trudny (bo zestygmatyzowany przez polskie homofobiczne społeczeństwo) związek. Chłopcy jednak nieźle w naszym Rybniku sobie radzili. Do czasu. Marek wyjechał na szkolenie. Przyjechał po dwóch tygodniach i usłyszał enigmatyczne jak dla mnie słowa: „To się wypaliło...”. Ogromny ból. Pierwszy BÓL, w końcu prawdziwy, a nie przez – dwadzieścia – pięć – lat – teoretyzowany. Ból duży, bo bez złości, gniewu i nienawiści. Żadnej zdrady, żadnego asekuracyjnego wytłumaczenia owego „wypalenia”. Boli bezsilność, bo nie ma szans. Ani jednej.

Kolejna bliska osoba przeżywa ZMIANĘ. Nie popadając jeszcze w tani sentymentalizm oraz melancholię, powoli zaczynam się zastanawiać. Przestrzeń konsekwentnie utwierdza mnie jednak w dziwnej, egzystencjalnej konsternacji.

Lena, 24: Dziewczyna w drugim (totalnie skrajnym od pierwszego) związku. Pierwszy: zaborczość, toksyna, łzy, brak czasu, ograniczenia, ale – miłość (tu wybaczenie, ale nie wiem jak napisać, by nie było tendencyjnie). Drugi: hedonizm, imprezy, towarzystwo, częste spędzanie czasu razem, zainteresowanie Jego wszystkim i wszystkimi, ale nie Ja... Lena, tak jak pozostałe osoby niedawno zrozumiała, że ZMIANA winna nastąpić.

W ostatnich dwóch tygodniach o bolesnych, ogromnych ZMIANACH kilku osób dowiedziałem się jeszcze parę razy. Moja egzystencjalna konsternacja została przerwana i chcąc nie chcąc, popadłem w okropną melancholię (okropną w tym przypadku). Naiwne analizy, szukanie odpowiedzi – jak to możliwe, że tak nagle, w tym samym czasie tyle bliskich mi osób zostało skazanych na ZMIANĘ. Postanowiłem porozmawiać z innymi na ten temat. Okazuje się, że mnóstwo osób także odczuwa spe-

cyficzny okres ZMIAN dokonujących się ostatnimi czasy obok (w) Nas.

Ktoś odczytuje ten okres jako konsekwencję żałoby narodowej po „Naszym Wielkim”. Tak wielka strata dla wielu Polaków, ich ogromne żale i smutki oraz modlitwy wysyłane w przestrzeń, mogły wytworzyć takie potencjały energii, które zaburzyły (?) dotychczas spokojny rytm życia. Początkowy dystans do takiego rodzaju wyjaśniania rzeczy, powoli się redukował. Przypadkowo (?) natknąłem się na zabawny, interesujący program nadawany w naszej telewizji kablowej. Codziennie podczas wieczorów ezoterycznych: wróżki, tarociści, jasnowidzowie i inni nieznaney mi maści „fachowcy” objaśniają dylematy ludzkiej duszy. Na kilka dni stałem się żarliwym widzem tych programów. Chciałem „wytuskać” z tych seansów, jak najwięcej wiadomości o kondycji psychicznej Polaków, korzystających z takiego sposobu radzenia sobie z trudnymi sytuacjami. Naturalnie większość dzwoniących, to ludzie potrzebujący duchowego wsparcia. Jednak nie na to chciałem zwrócić uwagę. Pomijam, że niekwestionowanym liderem w sprawach poruszanych na wizji był temat M I Ł O Ś C I (...) a raczej jej deficytu. Najbardziej zaskakujący był fakt, że wielu specjalistów odczytywało ostatni okres jako WYJĄTKOWY, intensywny. Ma to być podobno wynik tzw. „przyspieszenia energetycznego”, jak nazywają to astrologowie. Świat (Polska, Rybnik?!) przyspieszył. Ogromne poruszenie musiało wywołać ZMIANY. Zmiany nie tylko widoczne zewnętrznie, ale przede wszystkim przez nas wewnętrznie odczuwane.

Rzeczy nie dzieją się bez przyczyny. Trudne okresy są wpisane w nasze życie – to banalne stwierdzenie. Banalne w słowie nie znaczy łatwe w życiu. Każdy z nas miał swojego pięknego Motyla.

Motyl pofrunął. Tak jakby się zniechęcił do tego świata... A może przed nim po prostu jeszcze długa droga?

TeTe



Public Relations, Rybnik i Ty

Co łączy te pojęcia i byty? Pozornie nic, ale wiadomo, że pozory mylą Drogi Czytelniku.

Z Public Relations każdy z nas styka się na co dzień. Jesteśmy ciągle bombardowani informacjami, newsami pochodzącymi z różnych instytucji, organizacji czy firm. Wszyscy w dzisiejszym świecie starają się informować o swojej działalności, produktach, pomysłach, sukcesach. Pokazują siebie w jak najlepszym świetle, budują swój pozytywny wizerunek. Wizerunek to słowo klucz dla działalności Public Relations. Być dobrze postrzeganym, zapamiętanym. Zaistnieć w mediach, w świadomości społecznej to główne cele wszystkich speców w tej branży. Przecież kogo nie ma w mediach ten nie istnieje. Czy chcesz czy nie jesteś osaczony przez media. Prasa, telewizja, internet. To wszystko nas otacza i kształtuje nasze wyobrażenia, poglądy o otaczającym nas świecie, o innych ludziach. Wbrew pozorom większość naszej wiedzy o świecie czerpiemy z mediów.

Do niedawna myślałem, że teoretyczna wiedza o PR jest mało przydatna i można ją stosować gdzieś tam, daleko w świecie wielkiego biznesu, polityki czy reklamy. Ale pozory mylą albo przynajmniej lubią mylić. Dowód na to mądre powiedzenie. Proszę bardzo...

Będąc niedawno w Krakowie spotkała mnie dziwna sytuacja. Dziwna, bo przecież nie spodziewałem się, że przyjdzie mi zadbać o wizerunek Rybnika. Przedstawiłem się nowopoznanym osobom. Kiedy wymieniałem nazwę naszego miasta na twarzach moich nowych znajomych pojawił cień zakłopotania. Cień? Jaki tam cień. Ich oblicza zasłonił mrok niewiedzy. Nie wiedzą gdzie jest Rybnik? Nic nie wiedzą o moimi i twoim, Drogi Czytelniku, mieście? To niemożliwe. W dobie internetu, komórek, powszechnego dostępu do edukacji ludziom w słynnym, inteligentnym Krakowie nic nie mówi nazwa Rybnik. A jednak. Straszne pomyślałem. Public Relations przemknęło mi przez głowę. Mam szansę



stać się „specjalistą” i dostarczyć moim rozmówcom prawdziwych, rzetelnych informacji o Rybniku. Mam szansę zbudować pozytywny wizerunek Rybnika. Zrobiłem to. W krótkim, treściwym wystąpieniu zaspokoilem ciekawość znajomych, dostarczyłem im informacji o naszym mieście. Czy zbudowałem właściwy wizerunek? Nie wiem. Kiedy padło słowo Śląsk słuchacze uśmiechnęli się i przytoczyli parę słów kluczy. Ich skojarzenia nie były oryginalne. Niestety. Kopalnie, hałdy, brud, dym i ludzie mówiący jakimś niezrozumiałym, dziwnym narzeczem. Trochę smutny i przygnębiający to wizerunek. Nie ma w nim miejsca na piękne tereny nad Zalewem, na Stodoły, urokliwy park w Rudach, piękne drewniane kościółki Ziemi Rybnickiej czy trasy rowerowe z malowniczymi widokami.

To krakowskie doświadczenie wywołało u mnie taką refleksję, że oto każdy z nas może stać się kiedyś „specjalistą” od PR i dostać okazję do promowania swojego miasta czy regionu. Nie bój się wtedy Drogi Czytelniku dobrze mówić o Rybniku. Jest naprawdę o czym, jest się czym pochwalić i nie ma się czego wstydić. Gdy będziesz miał okazję burz fałszywy wizerunek Śląska jako regionu zdewastowanego, brudnego, nie mającego nic do zaoferowania. Burz, bo wiele jest racji w powiedzeniu „jak nas widzą (a raczej postrzegają), tak nas piszą (tak o nas myślą)”.

Jacek Prochasek

Nie istnieje żaden Budda, który posiadałby więcej mądrości niż my sami

Czym jest to, co powoduje, że ciągle tutaj jesteśmy?

To paradoksalnie przejaw czegoś, co jakże często wymyka się próbom poznania i wydaje się raczej niedostępne i zamknięte „po drugiej stronie” egzystencji. Mówią nam, że szczęście, bo o nim tutaj mowa, poznamy dopiero po przejściu granicy. Mówią o szczęściu, jak o tabu dostępnym tylko nielicznym wybranym. Oferują za nie liczne jego substytuty w postaci migotliwych światełek, mniej lub bardziej ulotnych wrażeń i wszelkiego typu „odjazdowych towarów”. TAK! – mówią media – Dzisiaj autorem twojego szczęścia jest bóg z MEDIAMARKTU! Raduj się, bo oto nadchodzą raty 0% na wszystko; ta lodówka to specjalny dar, a może nowy opiekacz, chcesz się odchudzić – przejdź na naszą „świętą dietę”. Nasz interes nieodłącznie wpisany w twoje życie, na wieczność związany z twoim szczęściem...

Jednak istnieje coś, co pomimo wszystko nie daje nam spokoju. Oto nadejdzie moment, w którym nie będziemy mieli już oparcia w niczym. Pomacha nam stara, dobra znajoma w czarnym kapтурze. Zabierze nas do swojego miłego pałacyku. I raczej nie będziemy mogli wtedy skorzystać z nowiutkiego, zaparkowanego tuż pod naszym domkiem „Volkswagena Passacika”. Dobrze jest mieć to na uwadze planując budżet na następny miesiąc (i broń Was Panie, nie chodzi o jakąś ascezę konsumpcyjną, ale tylko o dobro własnego portfela).

Może utrzymywanie takiego stanu rzeczy nieprzerwanie w polu naszej świadomości, pozwoliłoby nam zaoszczędzić trochę tak cennego czasu i zacząć robić coś bardziej pożytecznego niż gromadzenie światełek. I może zdalibyśmy sobie sprawę, że istnieje inny wymiar szczęścia – kompletnie ponadczasowego i nieuwarunkowanego

pieniędzem modą, polityką, czy religią. To właśnie przebłycki zrozumienia owego stanu mogą stać się dla nas prawdziwą inspiracją w życiu codziennym i przynieść nam wiele pożytku. Chodzi mniej więcej o to, aby zrozumieć, że:

Całe szczęście pojawia się z pragnienia, aby inni byli szczęśliwi, a całe nieszczęście przychodzi z pragnienia szczęścia dla samych siebie – jak powiedział kiedyś pewien mądry człowiek – na pewno nie pracownik działu reklamy dowolnej sieci handlowej.

Marzyciel



Błotne Święto Studentów

Tegoroczne Juwenalia, czyli tradycyjne Święto Studentów odbyły się 18 maja. Poprzedził je Dzień Sportu zorganizowany w ośrodku sportowym w Rybniku – Chwałęcicach. To tutaj, we wtorek 17 maja, rybnicy żacy rywalizowali w zawodach sportowych. Wieczorem, po zwycięstwach i porażkach świętowali w dyskotecce Medium. W środę rozpoczęły się właściwe Juwenalia. Przez cały dzień studentów można było spotkać w rybnickich pubach, gdzie przy napojach (chłodzących i czasami rozweselających) prowadzili rozmowy, nie tylko na temat zbliżającej się sesji. Szczególnie oblegane były: VIP, Demon, Forum i Max.

Właściwa część imprezy odbywała się na boisku za budynkiem I LO przy ulicy Kościuszki. Najpierw zagrały zespoły PLEBANIA i AKURAT. W przerwach publiczność rozgrzewał Skiba – prowadzący imprezę. Urządził, między innymi, konkurs na najlepsze przebranie. Taka rozgrzewka była potrzebna, bo pogoda dała w tym roku dużą plamę. Padało od rana, niemal bez przerwy. Było zimno i szaro. Już popołudniu boisko wyglądało jak jedna wielka błotna kałuża. Jednak to nie przeszkadzało studentom, a wręcz przeciwnie, było okazją do dobrej zabawy.

Główną atrakcją tegorocznych Juwenaliów było bowiem... „błoto”. Młodzież wykorzystwała rozmoczoną ziemię do wysmarowywania siebie wzajemnie, a ogromne kałuże do chlapania. Nie przeszkadzało im chłód i lejący z nieba deszcz, bawili się jak dzieci, czerpiąc przyjemność z chwil wolności. W osiągnięciu stanu bez troski pomogły studentom promile z chmielowego napoju, który, jak przystało na taką imprezę, pojawił się i w Rybniku. Na zbyt śmiałe zachowanie nie pozwolili im jednak ochroniarze i policjanci, którzy cały czas pilnowali porządku. Nie wpuszczali na teren imprezy osób w stanie wskazującym na spożycie. Wszystko było więc pod pełną kontrolą.

Gwiazdą tegorocznej imprezy był zespół KULT, który pojawił się na scenie około godz. 20⁰⁰. Koncert trwał 2,5 godziny, studenci przy przebo-



jach zespołu bawili się niczym na „mega rockotece”. Głodni mogli się posilić kielbaskami z różną, przemoczeni przenosili się do rybnickich knajpek na dalszą zabawę w towarzystwie znajomych. Choć Juwenalia to święto studentów, na imprezie bawiły się też młodsze roczniki młodzieży oraz fani rocka. Wszyscy uznali zabawę za udaną. Studenci pierwszych lat z rybnickiego campusu przyznali, że Juwenalia mają swój wyjątkowy klimat, różny od innych imprez, nawet tych studenckich.

Po zakończonym koncercie cześć studentów udała się z boiska do rybnickich dyskotek Medium i Żądło, by dalej świętować.



Hanna Honysz

Mały Woodstock

Przy „juwenaliowej” scenie, mniej więcej od godziny 15⁰⁰ zaczęła gromadzić się młodzież. Imprezę „rozkręcał” w tym roku znany z grupy BIG CYC i ogólnej działalności estradowej — Krzysztof Skiba. Jego żarty w przerwach między występami poszczególnych wykonawców bawiły znaczną część publiczności, a konkursy, które wymyślał (np. na najlepsze udawanie Michała Wiśniewskiego) niektórym się podobały.

Wśród wykonawców, którzy pojawili się tego dnia na rybnickiej estradzie jako pierwsza wystąpiła grupa PLEBANIA. Punkowy przekaz spodobał się nielicznej jeszcze wówczas grupie młodych ludzi. Plebania skończyła grać po około 35 minutach. Następnie na scenie pojawiło się trzech chłopaków z sosnowieckiego składu hiphopowego (mała „niespodzianka” ze strony organizatorów). Będąc pod silnym wpływem marihuany, chłopcy „nawijali” do bitu puszczonego z kompaktu. Zaprezentowali bardzo kiepski show. Jedyne, co mogło utkwąć w pamięci, to fakt, że jeden z podkładów zawierał zsampłowany fragment wstępu Agnieszki grupy ŁZY.

Po godzinie 16⁰⁰ na scenie pojawiła się popularna w Rybniku (i nie tylko) grupa AKURAT. Utwory z debiutanckiej płyty zespołu pt. Pomarańcza do dziś są grane na rockotekach w rybnickim klubie Medium. Repertuar grupy skupił się jednak głównie na materiale z drugiej, mniej popularnej płyty zespołu — PROWIN-CJA. Nie zabrakło jednak najważniejszych „kawałków” z debiutu takich jak: *Espania*, *Hahahaczyk*, *Lubię mówić z Tobą*, *Droga długa jest*, czy *Jak ziola*. Mieszanka ska, reggae, folku, punku i rocka rozgrzała publiczność, która bawiła się coraz lepiej. Zespół grał blisko 1,5 godziny. Koncert był dobrze nagłośniony i przyzwoicie zagrany.

Na główną gwiazdę tegorocznych rybnickich juwenaliów — grupę KULT — przemoczonym widzom przyszło czekać aż 1,5 godziny. Przy coraz chłodniejszej aurze i stale padającym deszczu nie było to łatwe. Wreszcie tuż po godzinie 20⁰⁰ na scenie pojawił się **Kazik Staszewski** i rozpoczął się koncert. KULT zaprezentował ponad dwugodzinny program składający się z mniej lub bardziej znanych przebojów zespołu. Na

początku usłyszeliśmy słynnego *Pasażera* Iggy Popy. Pod sceną trwały dzikie tańce pogo. Później muzycy zaprezentowali m.in.: *Gdy nie ma dzieci*, *Wódkę*, *Ręce do góry*, *Do Ani*, *Krew Boga*, *Czterech głupców*, *Brooklińską Radę Żydów*, *Arahję*, *Dziewczynę bez zęba na przedzie*, *Studenti*. Dobór utworów był „sinusoidalny”. KULT na przemian grał kawałki szybsze i wolniejsze. Podczas wykonywania starego przeboju węgierskiej grupy OMEGA, *Dziewczyna o perłowych włosach*, ktoś rzucił w Kazika błotem. Wokalista przerwał występ i zagroził zakończeniem koncertu, jeśli sytuacja się powtórzy. Na szczęście obyło się bez podobnych incydentów. Zgromadzona publiczność świetnie się bawiła, mimo dużego błota i wciąż padającego deszczu. Po blisko dwóch godzinach grania (bez przerwy!) grupa zeszła ze sceny. Wywołana przez publiczność okrzykami „Polska, Polska”, wróciła na scenę i zagrała właśnie ten utwór. Publiczność odwdzięczyła się żywiołowym tańcem pogo. Był to największy „czad” w Rybniku od dobrych paru lat.

Atmosfera podczas tego koncertu była niepowtarzalna. Klimat był właściwie „woodstockowy” z tańcami w błocie i dobrą zabawą, z tą różnicą, że rybnicka scena w porównaniu z tą z Przystanku Woodstock wyglądała raczej na festynową. KULT na żywo wywołuje wciąż wyjątkowe wrażenia. Niektórzy mówią, że grupa się starzeje, że Kazik już „odpuszcza” niektóre partie wokalne. 18 maja również można było momentami odnieść podobne wrażenia. Tym niemniej trzeba pogratulować grupie zgrania. Zarówno sekcji dęto-drewnianej, jak i rytmicznej.

Wielu uczestników zapamięta z pewnością koncert KULTU na długo. Jestem tego najlepszym przykładem. Jeśli tylko będę miał okazję, to ponownie wybiorę się na ich koncert. Pytanie tylko czy jeszcze w Rybniku będziemy mieli okazję spotkać się z Kazikiem i jego kompanami. Tak zakończyła się kulminacyjna część juwenaliów. Brawa dla organizatorów, którzy zadbali o różne atrakcje podczas tegorocznej imprezy. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że w przyszłym roku będzie jeszcze lepiej.

Maciek Majewski

Powtórzenia, smaczki and rock`n`roll The swindle



Te trzy teksty, które przeczytaliście lub przeczytacie, bo przejść obok nich obojętnie się nie da, są autorstwa bardzo młodych ludzi, którzy już osiągnęli przyzwoity poziom warsztatowy i optymalne zaplecze mentalne.

Cała trójka poetycka wywodzi się z Liceum Ogólnokształcącego im. Andrzeja Frycza-Modrzewskiego w Rybniku i uczęszcza na zajęcia KLUBU LITERACKIEGO w Domu Kultury w Chwałowicach, które, tak się jakoś dziwnie złożyło, prowadzę akurat *ja*. Także prezentację ową złożyte na karb kumoterstwa, jeśli wiersze się Wam, drodzy Czytelnicy, nie spodobają. A jeśli chodzi o układy i układziki, ja też chodziłem do wyżej wymienionego liceum. Mam jednak to szczęście być publikowanym i wydawanym od czasu do czasu, więc łatwiej mi uzurpować sobie prawo do wypowiedzi w sprawie *poezy*, a co za tym idzie, do żonglowania opiniami.

Wszystkie trzy teksty zostały dobrane według podobieństwa tytułów, które są jakby echolalicznymi powtórzeniami tych samych wyrazów albo metaforami składającymi się z tych, jakże to tragikomiczne, samych wyrazów. Utwór na pięść i słowa *narkotyki narkotyki* Grzelca operuje podobną dykcją, co utwór na szkiełko i oko *bar, bar, bar* Skorupy. Glossowitz posługuje się bardziej skomplikowaną aparaturą tropową w *Końcu końców*; ale tak to bywa u kobiet: mają one nieco inne podłoże ontologiczne swojej prywatnej semantyki. Wszyscy autorzy, których wiersze poznaliście lub poznacie, mają szansę stać się, albo już są, załączkiem nowego środowiska literackiego w Rybniku, które już bez obciążenia koniunkturalnych może kształtować nowe oblicze artystyczne miasta.

Przejdźmy może do prezentacji sylwetek. Zacznę od Adama Grzelca, który uczęszcza na zajęcia od

września 2003. Przez to, że Adam Grzelec jest siatkarzem, w jego wierszu da się wyczuć ściny, bloki, pady i serwy. W wierszu pierwszy serw ciągnie się w nieskończoność, rozprasza i „spaghettyzuje”, piłka zawiesza się nad siatką i zaczyna mówić do widzów niezrozumiałym językiem australopiteków – surrealistów. Czy ktoś z Was lubi spaghetti? Serw w języku „transgalaktycznych” siatkarzy oznacza: fraza. Fraza w prozopoetyckim utworze Grzelca Adama jest popisem szalonej jazdy po bezdrożach dźwięku i podstuchanych westchnieniach pełnych lęku. Pasikoniki metafor podskakują na piórze i przyglądają się żywo odbijającej się od świata piłeczce konceptu. Co za blok! Żeby tylko poecie nie urwało rąk!

Tak naprawdę wiersz jest *poważnym rozrachunkiem* z tym zgniłym systemem społeczno-politycznym ujednociającym plotki i tworzącym z tych plotek jakieś nieprawdopodobne zjawiska sięjące spustoszenie w mózgach. Ten wiersz jest oskarżeniem o szyderczym odcieniu. Drwi z bezmózgowia ćwierćinteligentów. Jeśli ten wiersz odbieracie jako bunt, macie rację. Jest to bunt. Bez cech prometejskich, ale ze szlachetnych pobudek.

Przed lekturą tego wiersza proponuję lekturę Wierszy zebranych Marka Krystiana Emanuela Baczewskiego i płytę *The great rock`n`roll swindle* SEX PISTOLS, co powinno ułatwić odbiór tekstów. Po lekturze tego wiersza proponuję mecz siatkówki.

Na samym środku **Jakub Skorupa** (żeby się to nie rozpadło kompozycyjnie!). Pojawił się w Klubie w tym roku. Przez to, że jest świeżo po maturze i grał kiedyś w kapelce o punk-rockowej nastrojowości, słychać w tej poezji chrapliwe zgrzytanie riffów i rockowe brzmienie i, co symptomatyczne, nacisk na uzyskanie rytmu we frazie; czasem prześlizgnie się zagubione sprzężonko i wykręci klucz wiolinowy

do góry nogami. Zdarza się, że zabraknie prądu i wtedy granie odpada. Riff w języku garażowców oznacza leksem. Wśród garażowców nie ma litości; jeśli ktoś nie potrafi złożyć ze strun silnika wiersza, nie dojedzie na tej motorynce do stawy i chwały. Tak naprawdę, mówię poważnie, nie każdemu jest dane zobaczyć baru od tej strony, co Jakubowi Skorupie. Tym bardziej na trzeźwo. Ale spostrzegawczość i bezlitosność zapisu poraża. Brutalna rzeczywistość została tu jednak spuentowana z jakimś takim wesółkowatym tumiwizmem, który, trochę nadwyreżę własne kompetencje, jest przyswajalną wersją stoicyzmu. Jest humor. I on wtapia się w bezpardonowy zapis gnijącego świata. I ratuje ten świat.

Przed lekturą tego wiersza proponuję lekturę *Dolnej wilidy Edwarda Pasewicza* i płytę *No need to panic* GBH. Po lekturze tego wiersza proponuję iść do garażu.

Na końcu, co ewidentnie zakrawa na brak kultury osobistej piszącego te zakłamane słowa, **Monika Glossowitz**. Ona chodzi z Jakubem Skorupą do klasy. Uwaga! Przez to, wiem, że już jestem nudny, że Monika jest świeżo po maturze i jest laureatką kilku konkursów wiedzy o niebycie literatury, a Marian Kisiel, krytyk literacki, powiedział o niej, że nie potrafi się sprzedać, nie potrafi się sprzedać. I dobrze. Jeśli będzie się literaturę sprzedawać jak towar, wszystko traktować jak towar, to gdzie będziemy my? Piszący i czytelnicy! Gdzie my wtedy będziemy? Nas nie będzie.

Za to w przeciwieństwie do poprzedników Monika Glossowitz stosuje inną poetykę, bardziej sprasowaną, skondensowaną, z pękniętym i zwichniętym rytmem. Pełną gęstych plazmatycznych i mglistych wizji przeżywanego świata. Urokliwych dotyków i „dotyczków”. A wplecione w to wszystko są polyskujące perełki sensorycznych zaćmień i przywidzeń. Nie na sprzedaż. Przed lekturą tego wiersza proponuję lekturę *Bio Julii Fiedorczyk* i płytę *Debut Bjork*.

Tyle jestem w stanie napisać na szybko, bez rzeczowej analizy. Analiza pojawi się niedługo, w następnych numerach, mam nadzieję.

Robert Rybicki



narkotyki narkotyki

pamiętaj nigdy nie bierz nic od nieznanomych pamiętaj żadnych cukierków lizaczków żadnych soczków nie bierz ostrzegala mnie matka kiedy byłem trochę młodszy pamiętam jak zakłęcie powtarzała *narkotyki narkotyki* prawdziwy strach w jej oczach prawdziwa matczyna troska pamiętam jak w drodze do szkoły z niepokojem oglądałem nieznanome dłonie przechodniów i udzielał mi się ten strach i szedłem coraz szybciej coraz szybciej prawie już biegłem ze łzami w oczach a każda dłoń jakby częstować mnie chciała w każdej dłoni soczki lizaczki cukierki

i nieznane mi straszne głębokie kieszenie w czarnych płaszczach starszych panów cóż mogło się tam kryć? wszędzie widziałem *narkotyki narkotyki* pochowane w tych kieszeniach pod kapeluszami gdziekolwiek w szkole było jeszcze gorzej na przerwach bałem się wychodzić na dwór bałem się starszych chłopców ich dłoni i dziwnego śmiechu nie sikatem w szkolnej ubikacji nie robiłem zakupów w szkolnym sklepiu *narkotyki narkotyki* nawet klamki mogli tym wysmarować

tymczasem podczas mojej kilkunastoletniej przygody z edukacją nikt nigdy nie poczęstował mnie kwasem parokrotnie byłem kopany wiele razy poniżano mnie i pluto mi do zeszytu ale nikt nigdy nie dał mi kwasu za frajer żaden z moich znajomych nie padł ofiarą dilera nikt z mojej szkoły nie zjadł trefnego cukierka nikogo nie poczęstowano zatrutym lizaczkiem

gdyby matka uczyła mnie walczyć potrafiłbym walczyć ale matka jej prawdziwa matczyna troska kazała mi się bać umiem więc bać się bać się obcych dłoni nieznanomych twarzy zatłoczonych ulic i udziela im się ten strach kiedy jak kojąca mantra *narkotyki narkotyki* wibrują w mojej krwi

Adam Grzelec

koniec końców

(notatki spoza scenariusza filmu o zapomnianym tytule)

gdzieś w Australii lewą rozedrganą
ciepłym wiatrem dłonią zastania cienie
karczujące grobową ciszę prawą gładzi
jej zapach pieści dawno zbutwiałe płatki
ostatniej róży to ona miała być solą jego
ziemi teraz przesypuje mu się przez palce
widzimy tylko te drzewa a potem ciężkie
granatowe kotary i całun w podobnym
kolorze na idealnie równym łóżku
zaścielonym kobiecą ręką

Monika Glossowitz



bar, bar, bar

nachylona nad muszlą klozetu kobieta:
ciemne włosy, dżinsy, obcisła bluzeczka
więc ta niebrzydka całkiem panusia
teraz myśli zawstydzona pewnie o mnie
choć też wcale nie jest to takie pewne bo skąd
ciekawe że nie tańczy
ciekawe że nie śpiewa tak jak to zwykle bywało
gdy pomiędzy przyniesieniem czystych szklanek
a nalewaniem piwa podrygiwała raz w tą a raz w tamtą
stronę barowej lady
jej usta rozchylały się wówczas rytmicznie
dla bezgłośnych słów piosenki
ale cóż
teraz jest środa jesienne popołudnie
chodniki zaczynają przyciągać coraz większe ilości pożółkłych liści
tuż za rogiem w sklepie z damską bielizną
ostatnie klientki na dzisiaj jeszcze przeglądają w lustrach swoje rozmiary
takich lub innych egzemplarzy w różnych kolorach i krojach
choć też wcale nie jest to pewne bo skąd
a oto ona oderwana od piątkowo-sobotnich wspomnień
przechadza się po męskiej ubikacji ze ścierką
i z czymś tam jeszcze
z daleka trudno zauważyć takie techniczne detale
fakt faktem że siadając w ulubionym miejscu na końcu korytarza
a nie w innym jak zazwyczaj kiedy przychodzimy tu na piwo
bez konkretnego celu prócz wypicia herbaty
naraziłem się na obserwowanie jej odmiennych zajęć obowiązkowych
trochę szkoda że nie tańczy
no i szkoda że nie śpiewa
tymczasem powoli z lekka wycofuje swoje biodra
kiedy wychodzę pozostawiając ją zupełnie samą podnosi głowę
na dźwięk mojego głosu nieco zdziwiona pożegnaniem odpowiada
i tyle

Jakub Skorupa

Kawa z aspartamem, czyli o majtkach w teatrze off'owym

Kto straci jeden włos, nie staje się jeszcze łysym, drugi włos utracony też nie stanowi łysin... Tak samo jedno czy dwa potknięcia nie stanowią jeszcze o „klapie” spektaklu. Kiedy więc zaczyna się łysina, teatralna oczywiście?

Moje włosy poczęły garściami wychodzić po VII Festiwalu Sztuki Teatralnej w Rybniku, jaki miał miejsce między 13 a 15 maja tego roku. Od pierwszego dnia liczyłem się z wyrokiem mniej lub bardziej twarzowego tupeciku przyklejonego zgrabnie na kość ciemieniową. **Marian Bednarek** w przedmowie do folderu zadał prowokacyjne (to jedna z trzech możliwości, jakie wybrałem obok „pytania klucza” czy „pytania niepotrzebnego”) pytanie: *Bezradność stworzyła teatr, czy teatr stworzył bezradność?* Dodatkowo na końcu akapitu sugeruje, iż owa bezradność ma moc cudotwórczą i „rozwojotwórczą” dla samego człowieka. Jednak, mimo że nauczyliśmy się wiele wybaczać, zwłaszcza teatrom off'owym, gdyż ten nurt bywa błogosławieństwem dla nurtu głównego, jest moment, w którym owe grupy muszą wreszcie przekroczyć granicę bezradności (z czasem staje się nieporadnością i przyzwyczajeniem) i przejść na stronę profesjonalizmu, który może być równie niebezpieczny, jeśli wpadniemy w sidła nawyku (spektaklu doprowadzonego do perfekcji, granego z pamięci i tracącego w ten sposób polot improwizacji, tak przecież odżywczej dla bardziej emocjonalnego odbioru). Ale z dwojga złego...

Oglądając spektakle młodych teatrów na tegorocznym festiwalu byłem mimochodem świadkiem kilku zbrodni z premedytacją, które bezczelnie działy się na moich oczach. Sprawcy snuli się po scenie w stanie całkowicie wytężonej świadomości, przeprowadzając działania sceniczne niby to w amoku. „Gwałcono” materię teatralną na wszelkie możliwe sposoby, począwszy od tych najbardziej subtelnych

przejawów molestowania, a skończywszy na jawnych aktach przemocy. Jednakże sumując, jedyny zarzut, jaki mogę postawić to brak higieny teatralnej. Jeżeli przez termin „higiena” będziemy rozumieć przestrzeganie czystości czy zapewnienie optymalnych warunków jednostce i społeczeństwu dla jak najlepszego rozwoju psychicznego i fizycznego, to na „deskach” Klubu Energetyka grupy teatralne dopuściły się fatalnego zaniedbania. Zanieczyszczenie łącznie z brakiem harmonii rozpanoszyło się wszędzie, a moją skromną osobą atakowały gigantycznych rozmiarów roztopca. Kto winien ponieść odpowiedzialność karną? Twórcy, odtwórcy, a może publiczność, gdyż wg **Mary Douglas**: *Nieczystość jest właściwie nieporządkiem i nie ma czegoś takiego jak absolutna nieczystość. Ta bowiem istnieje w oczach patrzącego.* Wątpię jednak w winę odbiorców, gdyż pedanteria nie jest schorzeniem zaraźliwym, a kanał komunikacyjny również nie wydawał się zbyt zapchany.

Od tego, co działo się na scenie podczas spektaklu *Opowieść o kolorach* cz. II uwagę odwracali aktorzy toczący istne batalie z porzucanymi za kulisami rekwizytami i z samą dekoracją, w związku z czym tytuł możemy odczytywać nie tylko jako drugą część dyptyku *TEATR SZTUKI Mariana Bednarka*, ale także jako dwupłaszczyznowość miejsca akcji. To niezależne życie prowadzone za kulisami podczas spektaklu bywa jednak nagminne w teatrze off'owym. Ma to chyba swój rodowód w zachowaniu małych dzieci, które zakrywając oczy myślą, że ich nie widać.

Duża plastyczność widowiska *Urodziny Infantki* Teatru PUCK polechtała podniebienie, rozochociła zmysł wzroku przystawką barw, charakteryzacji, kostiumów, po czym jako główne danie podała serię niedociągnięć, a to w postaci niedopracowanych akrobacji, a to znów niezakrytych szczudeł wystających spod podwiniętej nogawki, czy też dwudziestowiecznego biustonosza wystającego spod siedemnastowiecznej

sukni. Dopracowane, klarowne, odkażone, ale nie grzeszące nadto sterylnością (kojarzę ją jako zbytnią poprawność, zbytnią gładkość faktury, po której przejeżdżamy ręką mając zamknięte oczy, licząc na wrażenia wyłącznie dotykowe). W treść wpisany jakiś banał życiowy, jednak w taki sposób, że otwiera nasze umysły.

Teatr Tańca NAVRAS w sztuce *Przy stole* opowiedział historię kalekiej kołysanki, która jest śpiewana tylko kalekiemu dziecku, bo inne nie mają problemów z zasypianiem. Jednak i w tym spektaklu był moment, kiedy ślina skrzepla w kącikach ust, a poczucie erotyki zdekompletowało mi się niczym pudełko puzzli. *Kobiety, uprzywilejowane przedmioty pożądania...* wystawiają się na agresywne pożądanie mężczyzn... a im bardziej kobieta jest powabna, tym większą budzi żądzę... Troska o strój jest dowodem, że kobieta sama siebie uważa za przedmiot nieustannie proponowany uwadze mężczyzny (**Bataille Georges**). Jeśli na scenę wchodzi kobieta nietuzinkowej urody, w czerwonej kusej, wydekoltowanej sukience oblewająca nas od stóp do głów pulsującą seksualnością, oczekujemy wtedy, że będzie tak od początku do końca, w każdym geście i ruchu, na przestrzeni każdego centymetra jej ciała. Otrzymujemy cios prosto w nasze poczucie estetyki, jeżeli przy kolejnej figurze tanecznej sukienka lekko unosi się, a naszym oczom ukazują się majciory rodem z epoki wiktoriańskiej w kolorze ciemnego grafitu. Moje drogie panie grzech stał się niemodny w naszej kulturze, tak samo jak i pruderia.

Twórca spektaklu i jego odtwórcy winni być strategami w swej dziedzinie, powinni przewidzieć wszelkie możliwości albo prawie wszystkie: wpadki, uchybienia, walące się dekoracje, przerwy w dostawie prądu, momenty całkowitej improwizacji, by widzowie nie byli zmuszeni zbiorowo popełniać samobójstwa przez np. wstrzymywanie oddechu z powodu wstydu, który jest w końcu kategorią publiczną.

Podobno, kiedy pająka karmi się krwią schizofrenika zaczyna snuć swoje sieci w nieprzewidywalnej i szalonej formie. Nie wiem czy powiedziałem za dużo, czy jeszcze za mało. Mimo wszystko pokutuję za jedną i za drugą możliwość.

Chylę swą oskałpowaną głowę.

Bruno Bakke

foto: Krzysztof Liszka



Niecodzienne dylematy

Minął już jakiś czas od zakończenia kolejnego FESTIWALU SZTUKI TEATRALNEJ. Siedzę przed klawiaturą i zastanawiam się, czym tak naprawdę różnił się ów festiwal od pozostałych.

Była to już jego siódma edycja. Cyfra ta powszechnie uznawana jest za liczbę szczęśliwą i magiczną. Nie można dziś powiedzieć, czy to pómetek, ile jeszcze spotkań przed nami. Stwierdzić natomiast trzeba, że byliśmy świadkami prawdziwego odrodzenia festiwalu. Oceniając tegoroczny festiwal nie można zapomnieć o jego trzyletniej nieobecności w kalendarzu imprez kulturalnych Rybnika. Wiele wskazywało na to, że nie poddała przeciwnościom, że się już nie podniesie z kolan. Nic bardziej mylnego. Zawsze coś musi się zakończyć, by mogło narodzić się coś nowego, często lepszego. Jego zeszłoroczny „come-back”, nazwałam rok temu wielkim. Odeszło wielu starych uczestników, ale w ich miejsce pojawili się nowi – o gładszych twarzach i świeższym spojrzeniu. Ich możliwości nie zawsze szły w parze z prezentowanym repertuarem. To nie było wtedy jednak najważniejsze. Istotne było ponowne narodzenie i wielka chęć współtworzenia. Tegoroczna edycja była tego nie tyle kontynuacją, co wielkim rozkwitem. Oddzielono plewy od ziarna i teraz zbieramy plony tej selekcji.

Po raz kolejny opisuję teatralne wydarzenie i cięszę się, że mam się czym z Wami Drodzy Czytelnicy dzielić. Nie wszystko było dobre i pocieszające, ale jak powiedział tegoroczny członek jury, **Jacek Zembrzusi** – nie ważne, czy w przyszłości będzie z tego zawodowy teatr. Ważne jest obecne współtworzenie, bo jest to najczystsza forma międzyludzkich spotkań.

To do dzieła, czyli do szczegółów festiwalu...

Po raz kolejny dzięki Elektrowni Rybnik oraz Fundacji Elektrowni mogliśmy doświadczyć niezapomnianych, artystycznych wrażeń. W tym miejscu podziękowania należą się dwóm prezesom: **Jerzemu Chachule** i **Stanisławowi Wójtowiczowi**, który jednocześnie pełnił funkcję dyrektora festiwalu.



Dzięki ich pomocy zobaczyliśmy laureatów wielu znanych przeglądów i festiwali z całego kraju. W części konkursowej zaprezentowało się aż 14 grup teatralnych.

Poprzez zróżnicowane formy ruchu, plastyki, jak i dominujące słowo, publiczność mogła na wiele godzin poddać się magii teatru. Nie będę opisywać każdego spektaklu z osobna. Nie jest to moim celem. Nie będę też dzielić przedstawionych spektakli na dobre lub gorsze. W każdej, nawet najślabszej realizacji można było odnaleźć cząstkę nieoszlifowanej, często słabo dostrzeganej „perły”.

Z moich subiektywnych podsumowań wyłania się jasne przesłanie tegorocznego przeglądu. Był to dla mnie manifest trapiącej nas rzeczywistości. Podejmwana w sztukach tematyka utwierdziła mnie w przekonaniu, że terażniejszość bywa bardzo bolesna. Niemalże wszystkie prezentujące się grupy przedstawiały sztuki oparte na współczesnej, często własnej twórczości. Z jednej strony kontrowersyjna noblistka **Elfriede Jelinek**, z drugiej równie mocny scenariusz **Robka Paluchowskiego**. W sposób mniej, czy bardziej wyrafinowany zobrazowano kwestie dotyczące feminizmu, aborcji, czy wolności wyboru. Dосkwierająca, boleśnie odczuwana samotność, przemówiła do nas w sztuce Tosamość Teatru Realistycznego. Bohater mówi do odbicia w lustrze, do swojego alter ego:

A kiedy już w sobie znajdziesz, to, co najgorsze, pielęgnuj to sobie, jak Porsche, bo wtedy nie jesteś już sam... Poszukiwanie własnej tożsamości stało się bołączką zwykłego człowieka. Szara codzienność odciska na nas znamienne piętno. Nosimy, jak worek kartofli na plecach swój życiowy nadbagaż. Czasem coś wymknie się niepostrzeżenie budząc irracjonalne wyrzuty sumienia. Niezrozumienie własnych intencji, pragnień rodzi wewnętrzny konflikt.

W prezentowanych sztukach zastosowano różnorodne i prowokacyjne formy. Ich zadaniem była próba uwolnienia naszej podświadomości spod jarzma zatruwających ją toksyn. Ładunek wybuchowy umieszczony w bochnie chleba poruszył niejednego twardziela. Ten mocny, wybuchający w finale akcent miał jednak swoje uzasadnienie. Innego wydzźwięku nabiera natomiast prowokacja zastosowana przez TEATR PSYCHODELII ABSOLUTNEJ. Inscenizacja teatralna nie potrzebuje tak dosadnego przekazu, jakim była zastosowana projekcja filmowa. Naszym oczom ukazują się nogi kobiety stojącej w brodziku. Stróżka czystej wody, sączącej się lekko po jej łydkach jest tylko wstępem. Z czasem woda przemienia się w krew, bądź raczej w skrzepy krwi mieszające się z kałem. Czy to wynik aborcji, poronienia, a może samookaleczenia? To nie ma większego znaczenia. W tym przypadku kod teatralny stał się tylko tanim, jarmarcznym chwytem. Aktorzy nie udźwignęli głębi sztuki, więc ratowali się niedozwolonym chwytem wykraczającym daleko poza granice dobrego smaku. Po wyjściu z przedstawienia tylko

ten niesmaczny akcent pozostał w mojej głowie. To dziwne, bo sztuka trwała półtorej godziny. Spektakl wywołał wśród publiczności przysłowiową burzę, taką, z jakiej znany reżyser teatralny Krzysztof Warlikowski byłby zadowolony. Jego nagi Hamlet mógł też wydawać się rodzajem taniej sztuczki. Jednak dzięki przejrzystej treści i odpowiedniemu znaczeniu spektakl przed takim osądem obronił się sam. Krakowskie przedstawienie sprowokowało członków jury do rozmowy o współczesnej, często „cudacznej” dramaturgii. Na festiwalu pojawiły się, niestety, sztuki, które ograniczały potencjał młodych aktorów. Ich kompozycje nieświadomie podcinały skrzydła młodym wykonawcom, a jeszcze częściej gałąź, na których siedział sam autor.

Spotkania z udziałem członków jury były bardzo potrzebne i budujące. Na ławie jurorów zasiadły, jak co roku znane osobistości teatru – **Krzysztof Sielicki**, jedyny w tym gronie krytyk teatralny. Po raz pierwszy zagościł w Rybniku – **Jacek Zembruński** – obecnie reżyser i scenograf, kilka lat temu aktor Teatru Ośmego Dnia. Następnie reżyserka i aktorka w jednej osobie, **Ewa Wójciak** z wspomnianego przed chwilą poznańskiego teatru. Podobną rolę, znawcy praktyk teatralnych spełniał **Tomasz Rodowicz** ze Stowarzyszenia Teatralnego z Gardzienic.

Codziennie dyskusje o spektaklach w towarzystwie jurorów przyczyniły się do wzajemnej integracji twórców oraz widzów. Frapujące pytania i wyczerpujące tematy odpowiedzi stały się nieodzownym elementem spotkań. Wymianie wzajemnych myśli i doświadczeń towarzyszyły częste polemiki między jurorami, a publicznością. Widzowie mogli nie tylko wypowiadać, ale i zapisać swoje uwagi na przygotowanych specjalnie na tą okazję plakatach festiwalowych.

Pozwólcie, że w tym momencie przytoczę kilka uwag i spostrzeżeń, które tam znalazłam:

Psychodelia???... Ni to seksmisja, ni wywiad z wampirem...

- Psychodeliczne dziewczęta – samounicestwienie... *Po spektaklu jestem zdepsychodelizowany*
- Realistyczny i Brama – dwa mocne i ciekawe spektakle
- Tetraedr – urzekający, przerażający, mądry, bolesny, profesjonalny

Różnorodność przedstawianych spektakli wymagała odpowiedniej oprawy scenicznej. Organizatorzy przygotowali już jakiś czas temu kolejną salę teatralną. Tym razem odbywały się tam towarzyszące festiwalowi koncerty muzyczne. Pierwszego dnia wystąpił **Franciszek Prus** (akordeon), **Olga Prus** (skrzypce) oraz **Andrzej Kocyba** (kontrabas). Kolejnego wieczoru zagrali dla nas **Jarosław Hanik** (instrumenty klawiszowe), **Łukasz Walczak** (bębny) i **Eugeniusz Kubat** (bas). Z czasem ta sala może stać się tak popularna, jak „piwnica teatralna” – miejsce dla kameralnych spotkań ze sztuką. Poza spektaklami można było podziwiać wystawę fotograficzną grupy **16_03**, grafikę **Franciszka Niecica** oraz malarstwo **Marzeny Kuczery**.

Rybnik reprezentowały aż cztery grupy: Teatr GODZINA PÓZNIEJ, Teatr Z NAZWĄ (Klub Energetyka) oraz debiutujące teatry tańca Teatr CZABAN i teatr NAVRAS (Klub Energetyka). Poza konkursem zaprezentował się dobrze znany wszystkim TEATR SZTUKI Mariana Bednarka (Klub Energetyka).

Wysoki poziom tegorocznego festiwalu nie sprzyjał łatwemu wyłonieniu zwycięzcy. Dowodem na to były długotrwałe obrady jurorów i dwa równorzędne pierwsze miejsca. Triumfatorzy festiwalu to: Teatr TETRAEDR z Raciborza z przedstawieniem *What a bloody story* w reżyserii **Grażyny Tabor** (ubiegłoroczny zdobywca II miejsca) oraz Teatr REALISTYCZNY ze Skierniewic ze sztuką *Tosamość* autorstwa **Robka Paluchowskyego** Drugie i trzecie miejsce zastąpiły cztery wyróżnienia. Monodram **Jerzego Dębiny** z Raciborza, Teatr UHURU z Gryfina. Następnie Teatr ZMYSLOVI z Katowic oraz NAVRAS – rybnicki Teatr Tańca.

Muszę przyznać, że werdykt jurorów pokrył się w dużym stopniu z moimi oczekiwaniami. Tegoroczny zwycięzca Teatr TETRAEDR nie był moim zeszłorocznym faworytem. Jednak tegoroczna inscenizacja oparta na fragmentach sztuki **Geralda Spaetha** była znakomita i stała się dla wielu „balsmem dla zranionej wrażliwości”. W przedstawieniu zobaczyłam dojrzałą grupę młodych ludzi, których rzetelność i pomysłowość wpłynęły na wiarygodny przekaz sztuki.

Na zakończenie swoich rozważań, pragnę „rozprawić się” z rybnickimi malkontentami. Widocznym mankamentem festiwalu był brak

publiczności. Zabrakło mi tych twarzy, które często powtarzają, że Rybnik to takie, nudne i prowincjonalne miasteczko. W pewnym sensie sama się do tej grupy zaliczam, z tym tylko wyjątkiem, że nie opuszczam rzeczy wartych uwagi. Podane na talerzu, tak wykwintne „teatralne danie”, wielu odrzuciło bez mrugnienia okiem. Pomyślcie nad tym i przygotowujcie się już na kolejną ucztę. Niech znane nam wszystkim przysłowie, „swego nie znacie, a cudze chwalicie” pójdzie, jak najszybciej w zapomnienie. Życzę Wam tego i już zapraszam na następne spotkania ze sztuką w Klubie Energetyka. Do zobaczenia!

Katarzyna Dera



Foto: Krzysztof Liszka

Nie dajmy się nałogom!

Idziemy ulicami dużego miasta. Cywilizowanego miasta. Idziemy i widzimy „ludzkie wraki” trzęsące się pod wpływem alkoholowego, czy narkotykowego głodu. Przechodnie kiwają tylko głowami zadając te same, od lat powtarzające się pytania. Czy nikt nie może im pomóc? Dlaczego oni sami nie proszą o wsparcie? To, co dla nas jest białe lub czarne dla nich już dawno nie stanowi różnicy. Tak naprawdę będąc często u kresu wytrzymałości, pozornie tylko nie potrzebują i nie oczekują naszej pomocy.

O tym, jak wielkim problemem są uzależnienia niejednokrotnie mówili już wszyscy. Nauczyciele, pedagodzy, terapeuci, psychologowie. Jednym z pomysłów na zapobieganie różnorodnym uzależnieniom jest profilaktyka. TEATR ZIEMI RYBNICKIEJ, począwszy od 13 kwietnia br. przy wsparciu Przychodni Psychologiczno – Pedagogicznej przedstawia cykl imprez teatralnych związanych z uzależnieniami.

W ramach ogólnopolskiego programu profilaktycznego „Szacunek to bezpieczeństwo – nie dajmy mocy uzależnieniom” zobaczyliśmy, między innymi, monodram w wykonaniu **Anny Dymnej**, aktorki Teatru Starego w Krakowie, oraz dwa różnorodne, a traktujące o tym samym spektakle.

Przedstawienie muzyczne **Jerzego Fedorowicza** *Obudź się* (Minnesota Blues) w wykonaniu TEATRU LUDOWEGO z Nowej Huty jest zapisem pogłębiającego się nałogu, opowieścią o ludzkich słabościach i walce z nimi. Akcja dzieje się bowiem w środowisku polskich rockmenów z początku lat 80 i oparta jest na autentycznych przeżyciach lidera grupy ODDZIAŁU ZAMKNIĘTEGO – **Krzysztofa Jaryczewskiego**. Marek – główny bohater spektaklu wystylizowany na gwiazdę rocka realizuje swoje pasje twórcze przy pomocy narkotyków, alkoholu i leków psychotropowych. Podobnie, jak wiele gwiazd (choćby Janis Joplin, Jim Morrison, Jimie Hendrix) prowadzi szalone życie trasowo – koncertowe, które doprowadza go do upadku. Podczas spektaklu obserwujemy, jak piosenkarz

sukcesywnie spada na samo dno, ale w przeciwieństwie do wyżej wymienionych, w końcu się z niego odbija i staje się człowiekiem „dobrego gatunku”, świadomym swego uzależnienia i swojej słabości, pragnącym zmienić życie ze względu na siebie i kobietę, którą kocha.

Obudź się (Minnesota Blues) określony został przez twórców jako musical rockowy, aczkolwiek daleko mu do wielkiego broadwayowskiego stylu, choćby z tego względu, że aktorzy nie zawsze śpiewają czysto, a towarzyszący im balet Krakowskiej Akademii Tańca nie jest tanecznym fenomenem. Poza tym za dużo jest w nim niepotrzebnych ozdób. Nie to jednak w tym spektaklu jest najważniejsze. Ogromnymi zaletami przedstawienia są grane na żywo znane piosenki ODDZIAŁU ZAMKNIĘTEGO w wykonaniu zespołu **Roberta Lubery** NIE – BO i pełne ekspresji aktorstwo. Młodzi aktorzy, pokazujący prawdę o młodych ludziach stworzyli pewnego rodzaju klimat, który był swoistym kodem, sposobem porozumiewania się aktorów z młodą widownią. Spektakl kończy się koncertem – wielkim powrotem Marka na scenę. Ta scena pokazuje, że nigdy nie jest za późno, by się opamiętać, i że człowiek, będąc na samym dnie, może jeszcze się podnieść i coś osiągnąć. Niemniej jednak z zakończenia bije trywialność – bohater uzależniony od alkoholu, dzięki miłości ukochanej zmienia się w księcia i odtąd żyje „długo i szczęśliwie”...

17 maja w TEATRZE ZIEMI RYBNICKIEJ miała miejsce premiera spektaklu *Po równi pochyłej*, w wykonaniu STUDIA TEATRALNEGO. Spektakl opowiada historię kilkorga młodych ludzi, którzy znają się jeszcze z czasów studiów. Mimo, iż każdy z nich poszedł w swoją stronę, ich drogi, pewnego wieczoru zbiegają się ponownie. Wspominają stare czasy i przeróżne doświadczenia. Za namową jednego z nich – Andrzeja, ówczesnego lidera, a obecnie dilerka i właściciela klubu – postanawiają jeszcze raz zakosztować dawnych „przyjemności”. Ofiarą powrotu do „przyjemności” lat studenckich staje się Leszek, niegdyś przyjaciel Andrzeja. Podczas

spektaklu obserwujemy skutki, jakie wywołał u niego powrót do narkotyków.

Po równi pochytej jest już czwartą premierą, działającego od półtora roku przy Teatrze Ziemi Rybnickiej Studia Teatralnego. Moim zdaniem scenariusz autorstwa **Katarzyny Dery** sprawił wiele kłopotów zespołowi. Trudno było przedstawić poruszane przez autorkę sztuki kwestie i problemy związane z używaniem narkotyków. Zadanie to nie było proste zarówno dla reżysera spektaklu – **Janusza Majewskiego**, jak i dla wykonawców, którzy pomimo różnych problemów technicznych i wykonawczych, starali się, w możliwie klarowny sposób, ukazać problematykę uzależnienia od narkotyków. Wykonawcom zdecydowanie zabrakło dosadności i odpowiedniej wymowności. Brakowało mocy przekazu. Muzyka przygotowana specjalnie do tego przedstawienia, autorstwa **Adama Bednorza**, choć znakomita, nie oddała w pełni nastroju poszczególnych

scen spektaklu. Z kolei scenografia autorstwa **Wiesławy Skaby** nie ukazała w pełni rzeczywistości, w jakiej przeszło życie młodym, zabłąkanym ludziom. Młodej, tłumnie zgromadzonej publiczności również zabrakło mocnych, wymownych scen przemawiających do ich specyficznej wrażliwości.

Czy *Minnesota Blues* i *Po równi pochytej* przekonają młodzież, że nie warto spędzać życia na topieniu smutków w alkoholu i narkotykach? Czy pomogą zrozumieć, czym jest uzależnienie i jak z niego wyjść? Chyba nie tylko ja mam, co do tego wątpliwości. W obu przypadkach „terapii poprzez sztukę” zabrakło siły przebicia czegoś, co wstrząsnęłoby nastolatkami. Czy pomogły one jakiejś „zabłąkanej duszy”, czy były tylko bezcelową, a przymusową formą spędzenia czasu? Nie tak łatwo znajdziemy na te pytania jednoznaczną odpowiedź.

Beata Pyrek i Maciek Majewski



Kino dobrych filmów

Film rodził się jak „sztuka jarmarczna”, prymitywna, nie wymagająca objaśnień. Ale jak przystało na sztukę, która przysłała na świat na styku epok pary i elektryczności, a przed wiekiem atomu, z wielkim przyspieszeniem nadrobiła dystans do pozostałych rodzajów sztuki.

Dziś kino jest zjawiskiem złożonym i trudnym. Żeby je zrozumieć trzeba orientować się w historii oraz mieć podstawową znajomość środków wyrazu. Słynny krytyk francuski **Andre Bazin** mówił, że „kino trzeba się uczyć jak mowy.” Dzisiaj już dzieci nieźle znają język kina. A obowiązkiem dorosłych jest uświadomienie sobie, że ten język przestał być jatową igraszką światła i dźwięków. Film coś wyraża, niesie jakieś świadectwo, kłamie lub mówi prawdę. To kłamstwo lub tę prawdę ma szansę odkryć w pierwszej kolejności stały bywalec DKF-u. To on potrafi film prawdziwie przeżyć, ocenić jego zalety i wady. Zastanowić się – gdy film jest dobry – czyja to zasługa: scenarzysty, reżysera, montażysty, operatora, scenografa, autora muzyki, choreografa czy aktorów? Reżyser i pedagog, wieloletni prezes Polskiej Federacji DKF-ów prof. **Antoni Bohdziewicz** pisał: Widz szukał i szuka w kinie rozrywki, ucieczki od codziennych trosk i zajęć. Patrzy na ekran biernie i zaraz zapomina, co widział. Patrzyć można bezmyślnie i rozumnie. Dlatego przychodząc do DKF-u widz wciąga się powoli w sprawy wyższego rzędu. Zaczyna sam krytykować lub chwalić, wyrabia sobie dystans do dzieła. Poznaje wartość i sens konfrontacji, zaczyna w nich smakować.

Istnienie klubów filmowych znalazło podatny grunt w wielu krajach świata. Olbrzymie ilości Klubów istnieją dziś nawet w Indiach, Japonii i Syrii, ciekawą działalność prowadzą wyższe uczelnie USA, dobre wyniki mają Kluby we Francji, Polsce, Australii, Brazylii, na Kubie, w Argentynie i Kanadzie, na Węgrzech, we Włoszech, Czechach i na Słowacji i wielu jeszcze krajach. Ten podatny grunt miał miejsce również w Rybniku. Przy Domu Kultury Rybnickiej Fabryki Maszyn, w kinie GÓRNIK (dziś sprzedaje się tam dywany) odbył się pierwszy seans

rybnickiego Dyskusyjnego Klubu Filmowego EKРАН. Było to 15 grudnia 1964 roku. Pokazaliśmy film francuski w reżyserii **Jean Delanoy’a** z niezwykłą Michele Morgan pt. *Symfonia Pastoralna*.

I tak się to zaczęło. W każdy poniedziałek (oprócz lipca i sierpnia) o godz. 19³⁰ wówczas w kinie GÓRNIK, a od wielu lat w TEATRZE ZIEMI RYBNICKIEJ spotykają się miłośnicy dobrego kina. Jest to dobrowolne zrzeszenie kinomanów, grupujące ludzi szczególnie interesujących się sztuką i estetyką filmową. Ludzi, którzy pragną czegoś więcej niż komercyjnego kina amerykańskiego polegającego na nieustannej strzelaninie i lejącej się z ekranu czerwonej farby imitującej krew. Ludzie ci pragną czegoś więcej niż podrzędnych, kliwych romansidel czy thrillerów, których nawet dziecko by się nie wystraszyło.

Andrzej Wajda powiedział u nas na spotkaniu w Klubie: DKF-y to wielka szansa polskiej kultury. Urok ich polega na tym, między innymi, że sami siebie w nich wychowujemy artystycznie. No i wychowujemy się co tydzień. Poniedziałkowy seans to prawie rytuał. Nie ma u nas filmów miłych, słabych, obojętnych, kiczowatych. Pokazujemy w miarę możliwości wszystko to, co powstaje w kinie światowym. Żeby nie być gołosłownym podam, że prze 40 lat wyświetliliśmy ponad 1300 tytułów fabularnych i ponad 300 krótko i średnio-

metrażowych z 58 krajów świata, że wymienię niektóre: Indie, Japonia, USA, Kanada, Chiny, Hongkong, Korea Płd, Iran, Argentyna, Meksyk, Brazylia, Peru, Chile, Boliwia, Kolumbia, Tunezja, Wybrzeże Kości Słoniowej, Dahomej (dzisiejszy Benin), Nigeria, Algieria... i wiele, wiele innych. Były i są to filmy ciekawe, rzadko kupowane przez polskich dystrybutorów, prezentujące różne style i formy artystyczne, ciekawą reżyserię, świetne zdjęcia i często wysoki kunszt aktorski.

W Klubie odbywają się także przeglądy, festiwale, seminaria i pokazy tematyczne. Wspomnę tu o cztero-krotnej organizacji Ogólnopolskiego Seminarium Filmowego Polskiej Federacji DKF. Tematem ostatniego, w listopadzie ubiegłego roku, był *Czas dokumentu*. W ciągu 4 dni i nocy pokazaliśmy 66 filmów dokumentalnych z 8 krajów. Przez dwanaście lat organizowaliśmy Konfrontacje Filmowe, a także szereg pokazów tematycznych takich jak: *Muzyka i film*, *Czarne kino USA*, *Impresjonizm niemiecki*, *Klasyka radziecka*, 2-krotny cykl wielu filmów pod nazwą *Historia Kina* (organizowany wspólnie z Fil-moteką Narodową w Warszawie), *Kino polskie*, *Kino oniryczne*. Wreszcie prezentowane były wybitne pozycje reżyserskie czy aktorskie, jak np.: D. Griffitha, S. Eisensteina, L. Bunuela, I. Bergmana, F. Felliniego, A. Hitchcocka, A. Wajdy, O. Wellesa, Ch. Chaplina, J. Jarmusha, P. Greenwaya, W. Allena... i wielu, wielu innych. Takich przeglądów było ponad 110. Ostatnio w maju gościliśmy reżysera Andrzeja Celińskiego, który spotkał się z publicznością po projekcji jego wstrząsającego filmu pt. „Dzieci z Leningradzkiego”. Film dosłownie otarł się w roku bieżącym o nagrodę OSCARA. Był nominowany do najlepszej piątki w swojej kategorii. Minęły obchody 40-lecia działalności DKF-u EKRAN, o którym Sekretarz Generalny Polskiej Federacji napisała: Rybnicki Klub to nasza wizytówka na szczyblu międzynarodowym. Klub pracuje nadal i zawsze w poniedziałki zaprasza miłośników dobrego kina na seanse do Teatru Ziemi Rybnickiej. Zawsze będziemy powtarzać powiedzenie, że poprzez dobry film wiedzie droga do sal teatralnych, wystawowych, filharmonicznych. Nigdy odwrotnie. A więc zapraszamy. Przyjdźcie, posmakujcie kina artystycznego.

Wojciech Bronowski





VII Festiwal Sztuki Teatralnej, foto: Krzysztof Liszka i Tomasz Pol





Szczęśliwej drogi...

Niestampowa działalność DKF-u skrupulatnie omija to, co sensacyjne i „dziwnie śmieszne”. Na szczęście. W maju po raz kolejny można było zasmakować kina z najwyższej półki.

Chciałabym wspomnieć o trzech różnorodnych filmach, które łączy wspólny, powtarzający się motyw drogi. Bywa ona długa i często kręta. Dla dwóch przyjaciół z filmu *Dzienniki motocyklowe* jest ona piaszczysta i uciążliwa. W *Bedrożach* widzimy nagrzany słońcem do „czerwonoci” asfalt niekończącej się drogi głównych bohaterów. Dla młodej dziewczyny z filmu *Maria łaski pełna* to droga podniebna, niekoniecznie prowadząca do bram raj. Dla każdego z bohaterów droga jest wstępem do nowej, nie zawsze lepszej rzeczywistości. Jedno jest pewne i niepodważalne – zmienia ich życie na zawsze.

Wielka wyprawa dwóch beztroskich kompanów, 29-letniego biochemika Alberta Granado (**Rodrigo de la Serna**) oraz młodszego, 23-letniego studenta medycyny Ernesta Guevary (**Gael Garcia Bernal**) staje się początkiem zmian, którą dobrze znamy z historii. Miły i przeuroczy, zawsze chętny do pomocy Ernesto staje się w przyszłości, jak dobrze wiemy, legendarnym rewolucjonistą zwanym **Che Guevara**. Film nie pokazuje nam rebelianta, ale biedę i niesprawiedliwość, które z czasem wpływają na wybór jego życiowej drogi. Przyjaciele konsekwentnie realizują swój plan podróżując przez piękne i urokliwe zakątki Ameryki Południowej. Dużą część filmu stanowią przygody (tragiczne i humorystyczne): wypadki na krętych drogach, zmienna pogoda, ciężkie warunki w górach i na pustyni, problemy z transportem i pieniędzmi. Ernesto i Alberto podchodzą do kłopotów z poczuciem humoru, wszak dla młodych wystarczające jest poznanie nowych miejsc i ludzi. Trudna droga pozwala dostrzec równie trudne koleje życia napotykanym osobom. Wszelkie biedy i niesprawiedliwość, tragiczny los trędowatych na zawsze zmieniają Ernesto. Los innych przestaje być mu obojętny...

Dla filmowego Milsa (**Paul Giamatti**) z filmu *Bezdroża* wyprawa po malowniczych, kalifornijskich winnicach nie ogranicza się tylko do degustacji ulubionego wina, ale jest również czasem wspomnień, które bardzo ranią samotną duszę bohatera. Razem z kolegą Jackiem (**Thomas Haden Church**) przemierzają dolinę Santa Ynes w poszukiwaniu przygód i zapomnienia. Ich wzajemne relacje są dowodem na to, że przeciwieństwa się przyciągają. Jedyne, co ich łączy, to niespełnione ambicje, marzenia i uciekająca młodość. Jack – niegdyś gwiazda kina, a teraz jedynie „głos z reklamy” – też na swój sposób odczuwa wewnętrzne rozterki. Jest tydzień przed ślubem i swoją niepewność, co do życiowej zmiany zagłusza kolejnym flirtami. Reżyser filmu świetnie balansuje pomiędzy dramatem i komedią. Pewne komiczne sceny związane z postacią Jacka paradoksalnie przynoszą bohaterom zwycięstwo. Mils ponownie próbuje uwierzyć, że miłość też jest dla niego. Natomiast jedna z ostatnich tragicomicznych scen miłosnych pozwala nabrać Jackowi (tak sądzę) pewnego dystansu do prowadzonego trybu życia.

Najmniej optymistyczną wersję drogi pokazuje film *Maria łaski pełna* na podstawie scenariusza i w reżyserii **Joshua Marstona**. Pełnometrażowy debiut pokazuje historię niezależnej nastolatki przemycającej heroinę we własnym ciele. Maria, kobieta, a raczej dziewczyna brzemienna, by zdobyć szansę na lepsze jutro staje się „kolumbijską mrówką”. Wszyscy przyglądamy się drodze, jaką musi pokonać, żeby zdobyć lepszą, w jej mniemaniu, przyszłość. Nikt jej nie ocenia, ale też nikt nie pomaga. Zostaje sama, a my bezradnie przyglądamy się tragedii. Jestem pewna, że wszyscy – jak jeden mąż – podczas seansu zaciskamy mocno kciuki i wiercimy się w fotelach w nadziei, że może jej to pomóc. Dla reżysera liczy się tylko ona. Specjalne ujęcia pozwalają bezustannie przyglądać się jej pięknej, niewinnej twarzy i oczom, które wzywają pomocy. Nigdy nie zapomnę sceny, w której Maria musi połknąć ponad 60 sporych woreczków heroiny. We wcześniejszej scenie dowiaduje się,



jakie zagrożenia niesie ze sobą możliwość pęknięcia woreczka w żołądku. Teraz wraz z nią śledzimy ręce pakującego towar. Pochylona nad talerzem wody, w wyuczony wcześniej sposób połyka kilogramy czegoś, co przynieść może śmierć nie tylko jej, ale i dziecku. Widzimy, jak słabnie, jak jej wątłe ciało odmawia posłuszeństwa. Odpoczywając na kanapie przygląda się rosnącym na talerzu kolejnym porcjom. Ona, jak i publiczność wie, że musi znaleźć siłę, aby to zrobić. Jedna przerażająca scena goni kolejną. Ten, który płaci za przewóz uciska brzuch dziewczyny, w którym musi znaleźć się jeszcze miejsce na dodatkowe partie towaru. Podróż do Stanów, która dla Marii, jaki i jej podobnych jest tylko marzeniem, staje się teraz przykrą koniecznością. Poznaje inny wymiar nowojorskiej oazy szczęścia – sposoby działalności mafii, śmierć jej koleżanki. Reżyser nie epatuje przemocą. To nie jest kino sensacji. Oglądamy tylko wycinek rzeczywistości, o której jak najszybciej pragniemy zapomnieć.

Tak jak wstrząsnął mną los bohaterów, tak samo mocno doświadczyłam piękna prezentowanej przyrody. Salles, reżyser *Dzienników motocyklowych*

umiejętne obrazuje autentyczny zapis podróży, jaki pozostawił po sobie Che Guevara. Oglądając film nie sposób oderwać wzroku od cudownych krajobrazów Ameryki Południowej. Jest to przykład filmu, który bardzo wiele traci oglądany w domowych warunkach. Miejscami wręcz w sposób fizyczny odczuwamy ciężar i trudy drogi. Kamera prowadzona z ręki, często podskakuje, a wraz z nią nasze marzenia o życiowej przygodzie. Wraz z bohaterami odkrywamy kontynent, poznajemy ludzi. Podobnie jest w *Bezdrożach*, gdzie przepiękne kalifornijskie krajobrazy oddają pasję i ciekawość świata bohaterów. Ta estetyka zmienia się w rytm delikatnej, lekko jazzującej muzyki. Nawet Maria w filmie *Marstona*, mimo tragicznej sytuacji, z lekkim uśmiechem na ustach przygląda się z zadowoleniem światu z okna samolotu.

Wszyscy bohaterowie omawianych filmów mają ogromną motywację i wiarę w to, że nie można poddawać się przeciwnościom losu. Tego życzyłabym sobie i Tobie Drogi Czytelniku.

Katarzyna Dera

Świat dokumentu

9 maja podczas projekcji w rybnickim DKF-ie mieliśmy okazję zobaczyć dwa, bardzo różne filmy dokumentalne.

Pierwszy pt. *Dzieci z Leningradzkiego* okazał się wstrząsającym obrazem dworcowego życia rosyjskich dzieci. Mieszkańcy Moskwy codziennie mijają na stacjach metra tysiące żebrzących, śpiących, poniewierających się małolatów. Małe, duże, chłopcy, dziewczynki – wszyscy oni szukają na dworcu lepszego życia. Jak powiedział reżyser – **Andrzej Celiński** – podczas spotkania z widzami, które odbyło się po projekcji dokumentu, te dzieci nie są bezdomne – one mają dom, rodziców – ale na skutek pijaństwa matek i ojców, okropnej sytuacji rodzinnej, zaniedbania, uciekają by szukać szczęścia na stacji, w kanałach. Bohaterowie filmu cieszą się wolnością, życiem na własną rękę, ale muszą też stawić czoła trudnej rzeczywistości. Szokujące są sceny pokazujące dzieci bijące bezdomnych, znęcające się nad innymi, wachające klej. Dla wzmocnienia obrazu pojawiają się zdjęcia beztroskiej zabawy, dzieci czytających bajki, śpiewających piosenki przy ognisku. Niestety, władze rosyjskie lekceważą problem dzieci z Leningradzkiego i oprócz inicjatywy kilku osób (w tym **Hanny Polak** – współreżyserki dokumentu), dzieci są całkowicie pozostawione na pastwę losu. Stąd pomysł na realizację tego filmu. Ta niskobudżetowa produkcja znalazła się w tym roku w czołówce filmów nominowanych do Oscara w kategorii najlepszy krótkometrażowy film dokumentalny. Jeśli ktoś byłby zainteresowany udzieleniem pomocy dzieciom z Leningradzkiego (i innym) może wpłacić pieniądze na konto fundacji pod patronatem stowarzyszenia Monar. Oto numer konta:

STOWARZYSZENIE MONAR

ul. Hoża 57, 00-681 Warszawa
Bank BPH SA Oddział Warszawa
24 1060 0076 0000 3300 0031 6929

hasło: **Dzieci z Leningradzkiego**

Dokładne informacje znajdują się na stronie internetowej [www.activechildaid.org]

Drugi film pt. *Wrzeszczący faceci* przeniósł nas na północ Finlandii, gdzie **Petri Sirvio** stworzył w mieście Oulu nietypowy chór. Około trzydziestu mężczyzn w ciemnych garniturach wykrzykuje w języku kraju, w którym występują, pieśni patriotyczne, hymny, fragmenty prawa międzynarodowego. Wydo-bywane wrzaski, wbrew pozorom, są przemyślane, zaaranżowane tak, jak na prawdziwy chór przystało. Sam dyrygent Petri uznaje siebie za specjalistę od wrzasku. Z jednej strony obserwujemy członków chóru, jak z powagą i pełnym zaangażowaniem ćwiczą, koncertują, a z drugiej strony dużo miejsca zajmuje żart – wyczuwalny podczas naboru mężczyzn do chóru, czy występów w Japonii. Nietypowość zespołu podkreśla reżyseria dokumentu. **Mike Ronkainen** wplata w swój obraz fragmenty starych filmów dokumentalnych, równoległą narrację, metaforyczne sceny. Przykładem jest pierwsza scena, w której Petri Sirvio idzie po skutym lodem morzu, a w jego kierunku zmierza lodotałamacz. Podobnie rzecz ma się z ostatnią sekwencją filmu, gdy chór ciągnie ów lodotałamacz na linie. Być może te ujęcia mają oddać pasję i upór, z jakim „zimni” Finowie prowadzą swoją działalność. Jak wiemy w wielu krajach niekonwencjonalne wykonanie hymnu lub jego zniekształcenie jest karalne. Ciekawe, jak w Polsce przyjęto by Mazurek Dąbrowskiego w wykonaniu wrzeszczących facetów?

Gabrysia Dąbek

Bal z senatorem

Jak się okazuje, wystarczają chęć i pasja, aby zostać zauważonym i docenionym. Prężnie i bardzo efektywnie rozwijający się Dom Kultury w Chwałowicach doczekał się niemałego sukcesu.

Historia zaczyna się zwyczajnie... Dom Kultury organizuje w październiku 2004 roku trzecią z kolei Prezentację Filmu Niezależnego. Tym razem głównym jej założeniem jest aranżacja *a la* Śląsk. Jest orkiestra dęta, śląski kotacz, a gwoździem programu pokaz filmu Jak przed wojną nakręcono w tych okolicach. Film nie bierze udziału w konkursie, ale jako jedyny spośród wszystkich wyświetlanych jest tematycznie związany z założeniami imprezy. Dyrektor DK **Michał Wojaczek** wspomina, że na etapie przygotowań brakowało jeszcze jednego komponentu – gościa specjalnego ze świata filmu. Chcieliśmy dla dobra imprezy mieć osobowość – filmowca. Tak się złożyło, że śląskość była głównym jej elementem. Pomyśleliśmy, że dobrze by było, żeby to był **Kazimierz Kutz**. Udało się. Kutz przyjmuje zaproszenie, przyjeżdża, ogląda i chwali. Pozytywnie ocenia filmy konkursowe, ale jego uwaga skupiona jest głównie na komedii zrealizowanej przez członków chwałowickiego Klubu Filmu Niezależnego. Dotyczy ona, bowiem „bezrobotnego” Śląska, którym ten reżyser i senator w jednej osobie mocno się interesuje. Komedія ta jest dla niego autentyczna przede wszystkim dlatego, ponieważ jej autorami są Ślązacy, którzy doskonale orientują się w sytuacji, jaka panuje w ich regionie po zamknięciu kopalń. Wielu z bezrobotnych górników utrzymuje się ze sprzedaży złomu, co jest upadającym, ale niejednokrotnie jedynym wyjściem. Film jednak ujmuje ten problem z dużym dystansem i przymruczeniem oka. Co ciekawe, że jest jedną z nielicznych niezależnych produkcji podejmujących ten temat. Poza tym, Kutz nie ukrywa zdziwienia, że film zrealizowany został niemalże za darmo, na zasadzie wymiany usług, jak np. wynajem samolotu w zamian za reklamę w telewizji kablowej.

Impreza udaje się, ale nikt nie przypuszcza, że



Foto: archiwum DK Chwałowice

Kutz po wyrażeniu swojej pozytywnej opinii pójdzie o krok dalej. Film tak mu się spodobał – mówi Wojaczek – że wspominał o nim przy każdej okazji. Potem któregoś dnia otrzymaliśmy telefon, że w *TVP Kultura* będzie organizowana niedziela z **Kazimierzem Kutzem**, który chce zaprosić KNF jako gościa specjalnego i pokazać film. Nawet w najśmielszych myślach nie przypuszczaliśmy, że Kutz może zainteresować się filmem do tego stopnia.

Oczywiście w międzyczasie odbywają się lokalne projekcje. Film emitowany jest przez regionalne telewizje kablowe. Niemniej jednak najważniejsze dla autorów jest zaproszenie do Warszawy na dzień 1 maja. Gośćmi programu są: **Eugeniusz Kluczniok** (reżyser i scenarzysta), **Michał Wojaczek**, **Mirośław Ropiak** (główny „dyrygent” KFN-u) oraz aktor **Grzegorz Stasiak**, a więc swoisty konglomerat różnych ludzi o jednej, wspólnej pasji. Rozmowa ma charakter prelekcji do pokazu filmu. Kutz ponownie chwali zaangażowanie i spryt twórców. Jednak w ogólnym rozrachunku uczestnika *RePeFeNe* ta relacja telewizyjna może rozczarować. Postawa gospodarza programu jest mało przekonująca, bo właściwie powtarza swoje słowa z przeglądu nie podejmując nowych kwestii.

Natomiast sami autorzy wracają zadowoleni. Uznają to zaproszenie za zaszczyt i przygodę. **Mirośław Ropiak** zaznacza, że Kutz przy tej okazji obiecał pomoc dla KFN-u. Jakby ona miała wyglądać? Podobno czekają na telefony. Jak na razie otrzymano od Agencji Filmowej pismo z prośbą

o wykorzystanie kilku minut filmu na potrzeby nowopowstającego dokumentu Słowa i czyny Kazimierza Kutza dla Telewizyjnej Jedyńki.

Tymczasem, co się dzieje w domu? W Rybniku na temat filmu zdania są podzielone. Zainteresowaniem cieszy się on na pewno w środowisku mentalnie typowo śląskim, bo taki ma właśnie klimat. Jest gwara, jest wurszt i gorzołka, a nade wszystko śląskie poczucie humoru.

Natomiast dla młodego pokolenia jest on już mniej atrakcyjny. Zauważa się w nim między innymi wiele paradoksów (np. złomiarz wyrzuca zepsuty, metalowy rower do rowu). Ponadto powszechne określenie go mianem „film o śląskości” jest dla wielu sporym nadużyciem, bo czy złom, kradzież i pijaństwo kojarzy się tylko z tym regionem? I czy te właśnie elementy kształtują jego tradycję? Owszem można mówić o pewnej mentalnej asocjacji Polaków na ten temat. Niestety, jeśli to ma być śląskość to w jak najmniej chwalebny wydaniu.

Nie oznacza to, że film jest kontrowersyjny.

Trudno też nazwać go najlepszym przedsięwzięciem kultury rybnickiej. Nie można mówić ani o wielkiej dumie, ani też o żenadzie.

Niewątpliwie tak aktywne zainteresowanie Kutza tą produkcją jest już dużym sukcesem zarówno dla KNF-u, jak i samego Domu Kultury. Z pewnością należą się gratulacje, bo powszechnie wiadomo, że jak coś jest niszowe, to rzadko ma szansę wyjść się poza lokalne ramy. Tymczasem Jak przed wojną zobaczyła niemal cała Polska. W „wielkim świecie” usłyszano wreszcie o małym DK Chwałowice. Ciekawe, zatem czy i co w związku z tym będzie działo się dalej.

Póki co, wszystko toczy się swoim, normalnym rytmem. Dom Kultury organizuje kolejne imprezy, zaprasza nowych gości, aktywnie działają kółka zainteresowań, a to „kutzowskie” uznanie jest niejako zapewnieniem, że warto. Można potraktować je jak kolejny dyplom do powieszenia na ścianie.

Meruś



Foto: archiwum DK Chwałowice

Powierzam swoje tajemnice tym, którzy są godni tajemnic...

Rozmowa
z Anną Chodakowską



Dokąd prowadzą wszystkie ściany? Do rogu.

A dokąd prowadzą wszystkie cele? Do grobu.

Życie i grób? W grobie życie?

Grób się życia absolutnie nie ima, bo jest na siłę.

A na siłę nie ma nic dobrego. Na siłę jest hałas,

chaos, popyt, postęp, parady, zagłady, komisje,

**ołtarze, cmentarze- wszystkie, wszystkie nieszczę-
cia, wszystkich, wszystkich czasów [...].**

Anna Chodakowska wraz z Romanem Ziemiańskim – wirtuozem gitary, przyjechała do Rybnika 12 maja br., aby w Bibliotece Publicznej po raz trzytysięczny odprawić wielokrotnie nagradzaną Mszę wędrującego – spektakl oparty na fragmentach poematów *Oto*, *Fabula Rasa* oraz piosenkach ze zbioru *Missa Pagana* Edwarda Stachury. Jak przystało na aktorkę Teatru Narodowego, a jednocześnie utalentowaną piosenkarkę i silną kobietę o niezwyklej inteligencji, pani Annie wystarczyło 50 minut, by „powalić” wielbicieli Stachury na kolana.

BEATA PYREK: Krążą opinie, że jest Pani osobą bardzo kontrowersyjną. Czy swoim sposobem bycia, zachowaniem, działalnością daje Pani jakieś podstawy tym pomówieniom?

ANNA CHODAKOWSKA: Tak i mogę to szczerze powiedzieć. To wychodzi głównie z przyczyn poza artystycznych i polega na tym, że walcząc o prawa zwierząt, tzn. zakładając moje stowarzyszenie. Zniestawiłam wysoko postawionych ludzi, którzy próbowali zarobić pieniądze na bezdomności zwierząt. Nie dziwię się, że przyjaciółki tamtych ludzi piszą o mnie, że jestem kontrowersyjna. Wiele gorszych rzeczy można o mnie napisać. Wszystko to traktuję, jak pochwałę mojej działalności, ponieważ każdy

atak przeciwko mnie skierowany, związany jest, tak przypuszczam, z moją działalnością nieartystyczną, bo za artystyczną, owszem można mnie nie lubić, ale nie krytykować.

B.P.: Czy ta sprawa miała jakieś odbicie w Pani życiu artystycznym?

A.CH.: Tak. Obecnie w telewizji mam szlaban na pewne rzeczy, ponieważ ludzie, z którymi wygrałam są związani z polską telewizją publiczną. To jest bardzo skomplikowana i daleko posunięta sprawa. Szczególnie w Sejmie, z tego względu, że w Komisji Europejskiej byłam ekspertem podczas formułowania prawa Ochrony Zwierząt. Wiem, że mam wielu wrogów, bo w wielu miejscach byłam, ale chwala Bogu – myślę, że ilością naszych wrogów mierzymy nasz sukces.

B.P.: Czy spektakl grany grubo ponad trzy tysiące razy, daje Pani jeszcze jakąś satysfakcję?

A.CH.: Tak. W sensie formalnym zmieniamy teksty, sposób śpiewania i grania. Natomiast dlatego mnie to wszystko nie nudzi, ponieważ dla mnie to nie jest spektakl, ale najlepszy sposób na intymny kontakt z ludźmi poprzez tekst poetycki. Traktuję to jako usługę. Powiedziałabym nawet, że kapłańską. Nie chcę oczywiście wyjść na nadętą megalomankę; po prostu ja, która rozumiem teksty Stachury, chciała-bym się podzielić swoim zrozumieniem z ludźmi.

B.P.: Dlaczego kilkanaście lat temu wybór padł akurat na Edwarda Stachurę?

A.CH.: Innych poetów też śpiewam, lubię Lorkę, Szekspira, Herberta. Ale wydaje mi się, że Stachura ze swoim paradoksalnym widzeniem świata i nieoczywistości tego świata jest jedną z niewielu osób, które stawiały sobie autentyczne pytania, na które odpowiedzi nie ma, a które mają wątpliwości młodych ludzi.

B.P.: Najlepszymi odbiorcami tekstów Stachury są ludzie młodzi?

A.CH.: Tylko ci, którzy nie mają mózgów przechanych czołgiem Internetu i nie żywią się przeciętnością i pośpiechem i nie mają w mózgu wolnej komórki do wynajęcia. To okropne, co powiem, ale do tych, którym po mózgu przejechał czołg ja po prostu nie mówię, bo oni zanim coś usłyszą, muszą przemyśleć wiele rzeczy. Jeśli w ogóle mają jakąś wolną komórkę to powinni ją wykorzystać, zanim stracą życie, a z nim szansę na zrozumienie.

B.P.: Według pani każdy „porządny” młody człowiek powinien rozumieć Stachurę?

A.CH.: Nie chodzi o Stachurę. Mówię tu o zrozumieniu czegośkolwiek. Bo jeśli na przykład ktoś zacznie czytać filozofów, zrozumie z tego coś, cokolwiek, i cokolwiek zacznie to znaczyć dla niego, to ten ktoś idzie dalej.

B.P.: We Mszy wędrującego dominuje ton moralizatorski. Czego podczas swego nabożeństwa uczy kaznodzieja Anna Chodakowska?

A.CH.: Ja nie jestem kaznodzieją. Stachura by się strasznie wkurzył! On nie uczył, nie pouczał, ale, będąc pod wpływem wschodniej filozofii, pokazywał ludziom, że można zapytać o sens fundamentalnych spraw

B.P.: Na przykład: po co chcę mieć dziecko?

A.CH.: No właśnie: po co chcę mieć dziecko? Co ja mu mogę dać? Czy w ogóle mogę mu coś dać? A jeśli tak, to z jakiego powodu chcę mu to dać? Stawiał również najważniejsze pytanie- te o posiadanie.

B.P.: Co wg Stachury posiadamy?

A.CH.: Nic. Nic nie posiadamy. A przynajmniej z logicznego punktu widzenia nie powinniśmy. Chęć posiadania jest największą na świecie głupotą, ponieważ to posiadanie nas zżera, utrupia nasz mózg. Nie zżera nas tylko nieposiadanie. Proszę posłuchać, jacy ludzie są głupi: mówią „posiadam żonę”, a przecież drugiego człowieka nie można posiadać. Posiadanie kogoś bierze się ze starego feudalnego sposobu myślenia, który odnajdujemy również w Biblii.

B.P.: Biblia podsuwa nam feudalny stosunek własności, jeśli chodzi o drugiego człowieka?

A.CH.: Z pewnością Biblia podsuwa pewien stosunek do własności, a Stachura cudownie z tym korespondował. Zdawał się mówić za Chrystusem: nie pożądaj żony bliźniego swego, ani ośła, ani czegoś innego, ani żadnej rzeczy, która jego jest... Oczywiście dziś należy patrzeć na to trochę inaczej.

Obecnie to zdanie byłoby niezłe dla pani Środy, żeby miała co rozważać w Sejmie (śmiejch).

B.P.: Co mówi Edward Stachura o uczuciach?

A.CH.: Stachura próbuje zniszczyć pewne przekonanie, że „Ja ją kocham i ona mnie też musi kochać”. Jeśli ktoś w ten sposób myśli, to znaczy, że z tego związku nigdy nic nie będzie.

B.P.: Maria Callas powiedziała: *Publiczność jest wrogiem, z którym trzeba zwyciężyć*. Kim jest dla pani publiczność?

A.CH.: To świetnie, że przywołuje pani opinię tak fenomenalnej śpiewaczki. Jeśli chodzi o osobowość, to jest ona dla mnie jedną z największych kobiet na świecie. Myślę, że z jej strony to był żart. Publiczność może być wrogiem, ale tylko dopóki nie zostanie „wciągnięta”. To się dzieje machinalnie. Albo ludzie siedzący na widowni chcą widzieć daną osobę, albo nie. Podczas każdego wystąpienia jest taki krótki moment cierpliwości- przez pierwszych kilkanaście minut nikt nie reaguje. I w pewnej chwili ludzie otwierają się, przynajmniej tak czują podczas występów, i publiczność zaczyna śpiewać Stachurę razem ze mną, we mnie, przeze mnie. A wtedy już nie jest wrogiem.

B.P.: A jaka publiczność słuchała Pani w Rybniku?

A.CH.: Bardzo specyficzna. 12 maja słuchali mnie bibliotekarze ze Śląska, którzy siłą rzeczy mają dar skupienia. Natomiast dziś na widowni byli młodzi, a wśród nich i ci, którzy mają tylko jedną wolną komórkę w mózgu. Ale to wspaniale, że oni również przychodzą posłuchać tego, co ma do powiedzenia Stachura. Może dzięki temu jeszcze jedna komórka odklei się od Internetu, telewizora czy od chęci picia. To, co mi się podoba w młodej publiczności to fakt, że ci ludzie mają mózgi nie do końca skostniałe; mózgi, które wciąż szukają odpowiedzi, szukają siebie i dzięki temu potrafią dziewiczo odebrać każdy tekst. Czasem go nie rozumieją, ale piękne jest to, że są wrażliwi na słowo. Są po prostu lepsi od starszego pokolenia.

B.P.: Dziękuję za rozmowę.

A.CH.: Dziękuję również.



Beata Pyrek

OSKAR był tuż, tuż...



Mowa o filmie dokumentalnym pt. „Dzieci z Leningradzkiego” w reżyserii Andrzeja Celińskiego, który to film został nominowany do tej prestiżowej nagrody. Z twórcą tego obrazu rozmawia Wojciech Bronowski prezes DKF-u EKRAN w Rybniku.

WOJCIECH BRONOWSKI: Wielki to sukces znaleźć się wśród najlepszej piątki spośród 120 tytułów zgłoszonych z całego świata do Akademii Hollywoodzkiej. Gratuluję.

ANDRZEJ CELIŃSKI: Dziękuję. Nie spodziewałem się tego wyróżnienia nawet w marzeniach.

W.B.: O czym traktuje Pana film?

A.C.: O dzieciach. Są to opuszczone przez rodziców, zapomniane przez ludzi bezdomne dzieciaki, które w ilości ponad 30 tysięcy koczują w podziemiach moskiewskich dworców. Mój film rozgrywa się na dworcu Leningradzkim w moskiewskim metrze.

W.B.: Czy to możliwe, żeby ludzie przechodzili obojętnie obok tego problemu, żeby mieszkańcy rosyjskiej stolicy nie mieli świadomości, że obok nich rozgrywają się tak niesamowite dramaty?

A.C.: Widocznie możliwe, bo to jest makabryczna prawda. Te dzieci nie czekają na lepsze jutro, nie posiadają marzeń. Żebrzą, kradną jedzenie

i ubrania, narkotyzują się klejem. Kilkunastoletnie dziewczynki trudnią się prostytutką. Wszystko po to, by jakoś przeżyć życie. Koczują w podziemiach dworca, śpią w rurach i skrzyniach, na schodach i na peronach. Milicja często ich wyłapuje i umieszcza w domach dziecka. Ale z tych okropnych koszar dzieciaki uciekają i znów trafiają na dworzec. Koło się zamyka. Rodzice ich losem absolutnie się nie interesują. Dzieci bez dzieciństwa i bez perspektyw.

W.B.: Ten 40-minutowy film to wstrząsający obraz pełen drastycznych scen. Prawdziwy czy trochę inscenizowany?

A.C.: To gorzka prawda i tylko prawda. Jakoś nikt nie chciał podjąć się tego tematu, ja spróbowałem, pojechałem, zobaczyłem, przeraziłem się i postanowiłem to utrwalić na taśmie, by poruszyć w jakiś

sposób ludzkie serca. Kręciłem ten film z przerwami ponad dwa lata. Poznałem się i wręcz zaprzyjaźniłem z wieloma dziećmi, które nie bały się kamery, nie grały roli, a szczerze mówiły i pokazywały swoje tragiczne życie.

W.B.: Czy myślał Pan o sukcesie artystycznym, który Panu przypadł w udziale?

A.C.: Absolutnie. Zrobiłem ten utwór za własne pieniądze, miałem dziesiątki kłopotów technicznych i organizacyjnych. Moim najważniejszym przesłaniem była myśl, żeby móc wstrząsnąć każdym człowiekiem, który ma dzieci i powinien być za nie odpowiedzialnym. Nawet nie wiedziałem, że film zgłoszono do Oscara. I raptem jak grom z jasnego nieba przyszła wiadomość. A potem zaproszenie do Hollywood, poznanie się z wybitnymi twórcami i gwiazdami kina, niewyobrazalna gala, występ na scenie festiwalowej. I jeszcze przy okazji nagroda na znaczącym Festiwalu w Sundance. I wreszcie znakomite przyjęcie filmu przez publiczność amerykańską i międzynarodową.

W.B.: Jest Pan absolwentem Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Grał Pan m.in. w teatrach Gdyni i Chorzowa. Zaczął Pan reżyserować w katowickim Teatrze KOREZ, stał się Pan autorem kilku sztuk teatralnych i wreszcie stanął Pan na planie filmowym. I od razu taki sukces. Tylko pozazdrościć. Jakie ma Pan najbliższe plany?

A.C.: Oprócz pracy reżyserskiej w Korezie mam kilka ciekawych propozycji autorskich i reżyserskich w teatrze a także rysują się ciekawe propozycje filmowe. Ale to jeszcze daleko do sfinalizowania tych przedsięwzięć. A więc jeszcze nie czas na szczegóły.

W.B.: Cieszy mnie, że przyjechał Pan ze swoim filmem do Rybnika i spotkał się z publicznością naszego Dyskusyjnego Klubu Filmowego EKRAN. Raz jeszcze gratuluję.

Wojciech Bronowski

Bella pupa show

KSIĄŻKA

**Sławomir Shuty dał się poznać polskim czytelnikom jako literat-eksperymentator. Jego pierwsze próby prozatorskie, „Nowy wspaniały smak” (1999) i „Cukier w normie” (2002) oparte są na bezlitosnej krytyce polskiego społeczeństwa. W *Zwał* ta krytyka jest jeszcze bardziej bystra, konstruktyw-
na i dojrzała, autor wręcz zaraża odbiorców maniakalnym spojrzeniem na współczesny świat. Świat stworzony z kiepskich reprodukcji w kolorowych brukowcach, ujęty w zimną klatkę odbiorników telewizyjnych, świat „starannie tworzonych iluzji i pseudopotrzeb”.**

W świecie, w którym wszystko podryguje w ultradźwiękowych drgawkach, w świecie super i hipermarketów, komputerów, reklam i zupek w proszku żyją współcześni młodzi inteligenci, którzy próbują przystosować się do wymogów takiej rzeczywistości. Wśród nich jest Mirek, polski everyman, nie zrealizowany, skłócony ze światem i niedojrzały „bankowiec” pracujący w Hamburger Banku- instytucji, która nie tylko ze względu na nazwę, przypomina bardziej Mc’Donalds niż bank; jego szefowa – Basia, typowa buisnesswoman, kierowniczką, menedżerką, kobietą światową, a także łaskawa opiekunka swoich pracowników, dzięki której mogą oni liczyć na premie Dyrektora, i pocieszny Krzysio, przemily konsument życia, *wprowadzony w hipnotyczny stan snu na jawie*.

Wszystkich, którzy żyją we współczesnej Polsce, czyli nigdzie, ewentualnie koło Rosji, poddaje Shuty bezpardonowej krytyce. Krytykuje również sam kraj i jego ustrój (istnieją dwie kasty obywateli: pierwsza to garstka oficjeli, którym usunięto szpecące tatuaże, to oni analizują, wykonują, kontrolują, decydują i kierują działaniem systemów. Pozostali to zdeorientowana masa, jej rola, to rola widzów, którym od czasu do czasu pozwala się poprzeć przedstawiciela kasty wyspecjalizowanej; to jest właśnie ta, niechże ją nazwę po imieniu, kurwa demokracja).

Ogromną zaletą *Zwału* jest sprawna stylizacja językowa. Język, który stworzył Shuty jest niebanalną, wywołującą u czytelnika rozbawienie, mieszanką

różnorodnych stylów przekazu i chyba wszystkich możliwych sposobów dzisiejszej komunikacji interpersonalnej. Przypomina wielki kolaż, na który składają się słowa, hasła i frazeologizmy z różnych dziedzin życia – slang blockersów i zbuntowanej młodzieży słuchającej hardrocka, sztampowe „hasętka” współczesnej inteligencji, zapożyczenia z obcych języków, cytaty z dzieł klasycznych, idiomy, socjolekty, język reklamy, mass – mediów, a także całe zdania, jakby żywcem wyjęte z poradników domowych, teleturniejów, czatów, gadu – gadu, czy nawet ceremonii mszalnych.

Można zarzucić autorowi, że książka jest pisana z wyrachowaniem; że jest skrajnie dekadencja, że nie ma w niej żadnego ciepłego słowa i uczucia, natomiast po brzegi wypełniona jest drwiącym śmiechem i wulgaryzmami. „Zwał to ładunek wybuchowy, eksperyment, który mógłby stać się kultową książką dezertów ze społeczeństwa konsumpcji” – pisze **Wojciech Kuczok**. Trudno jednak będzie współczesnemu czytelnikowi pogodzić się z obrazem szpetnych trzydziestoletnich, którzy wszystkich nienawidzą i wszystkimi gardzą, a Shuty w swojej powieści, bez czułości i przestadzania, podaje nam właśnie taki pakiecik wzorców osobowych.

Beata Pyrek

Sławomir Shuty, *Zwał*, WAB 2004



Regał przedostatniego tchnienia

KSIĄŻKA

Życie Aglaji Veteranyi ważne jest z kilku względów. Przede wszystkim, dlatego że się urodziła, że lubiła mamałygę z solą, rosół z kury, wałęcukrową, i że napisała Dlaczego dziecko gotuje się w mamałydze. Pod koniec życia miała wrażenie, że jej ciało gwałtownie się starzeje, ukrywała się więc przed spojrzeniem innych i wzrokiem samej siebie.

Monika Bakke pisze, iż starość zaczyna się w momencie, kiedy brakuje dotyku drugiego człowieka lub poczyna się on robić instrumentalny, gdyż doznajemy go już jedynie od lekarzy i fryzjerek. *Pieszczota* przecież jest uwagą zwróconą ku czystej przyszłości, takiej, co to czeka jeszcze na wypełnienie treścią (Levinas). Kiedy brakuje treści, zwracamy się do tego co już wypełnione. I tak, starość staje się tęsknotą za dzieciństwem.

Dlaczego dziecko gotuje się w mamałydze to krzyk tej tęsknoty, który wyrwał się z ust czterdziestoletniej kobiety zapraszającej nas do świata zbudowanego z kolorowych klocków. Czterdziestoletnia kobieta czuje skórą dwunastoletniej dziewczynki, myśli jej myślami. Dlatego pod koniec życia palą ją oczy, bo patrzy jej oczami. Ludzie przecież nie mogą pojawiać się na świecie od razu dorośli, świadomi, muszą zakorzeniać się stopniowo, miesiąc po miesiącu, rok po roku, bo od nagłego zachwytu nad otaczającym nas światem mogłoby pęknąć serce. Mimo, iż czytanie *Aglaji Veteranyi* to jak poranne odbijanie się od promieni słońca, jak przechylenie głowy lekko w prawo w chwilach uniesienia, ta czterdziestoletnia kobieta ręką dwunastoletniej dorastającej dziewczynki pokazuje nam kolejne stacje naszego życia z napisami: NIEWINNOŚĆ, NAIWNOŚĆ, CYNIZM. Puentując, że jesteśmy o wiele dłużej martwi niż żywi, dlatego jako umarli potrzebujemy dużo więcej szczęścia. Książka jest w pełni autobiograficzna nawet, jeśli rozsadzana jest historiami, którymi nieroztropni dorośli karmiły swoje łatwowierne dzieci. Dziecięca logika opatula

każde zdanie traktujące o rumuńskiej rodzinie cyrkowców. Matce wiszącej za włosy (po ilości włosów wypadających jej z głowy sprawdza się ryzyko każdego z występów). Ojcu, który musi się upić, by chodzić po linie, bo inaczej ze strachu mógłby spaść. Ciotce, która żyje w kiczowatym świecie pluszowych maskotek ustrzelonych przez jej kochanków na jarmarkach, ale kicz to przecież sztuka szczęścia. Siostrze opowiadającej dziwne bajki. Po występach gotuje się rosół z kur zabijanych w hotelowych pokojach i wtedy pojawia się strach przed siusaniem do ubikacji, bo martwe kury mogą nocą z niej wyjść. Wszędzie jest się za granicą, bo dom jest tylko w Rumuni. Cyrk jest w niebie, a Bóg nie wiezieć czemu gotuje dzieci w mamałydze. O ile czasem mam wrażenie, że większość prozy kobiecej pisana jest krwią menstruacyjną, o tyle w tym wypadku jestem święcie przekonany, że użyto mleka matki.

Bruno Bakke

Aglaja Veteranyi, Dlaczego dziecko gotuje się w mamałydze, CZARNE 2003



**Nie trzeba go przedstawiać. Ubiegły rok wykre-
ował go na gwiazdę mediów; nagroda NIKE 2004
za „Gnój”, zaraz później film na jego podstawie
— „Pręgi” Magdaleny Piekorz, również nagrodzo-
ne; a zaraz po nich oszałamiający zbiór opowiadań
„Widmokrąg”. Pan K. to najwyraźniej przypadek
beznadziejnie skazany na sukces. W czym tkwi
tajemnica?**

W jego nieporównywalnym z niczym, obezwładniającym, fantastycznym sposobie obrazowania, polegającym bardzo często na przedstawianiu wydarzeń najprostszych i najtrudniejszych, czasem okrutnych, „ubranych” w dziwaczne, czasem ekstremalne, ale prawie zawsze tragikomiczne sytuacje, na wpół realne okoliczności; **Kuczok** opisuje je fascynującym, nie poddającym się dookreśleniu, językiem, w którym każdy znajduje to, czego spodziewa się po literaturze; a więc — nie spodziewamy się, że nas poklepie; ona ma jątrzyć, podebrać, kopnąć, znowu zakwestionować wszystkie odpowiedzi, które wydały nam się już tymi ostatecznymi.

Fakt, że *Gnój* wywołuje skrajne reakcje czytelników (takie wywołuje też film *Pręgi*) potwierdza te przypuszczenia i pewnie cieszy pana K. Dla jednych jest dosłownym (niepotrzebnym) babraniem się w gnoju — nie idylli, ale piekle dzieciństwa — przez opisywanie wynaturzeń, jakie mogą zdarzać się w rodzinie, braku miłości, niedojrzałości do rodzicielstwa etc. Dla innych słusznym *walaniem na odlew*, fajdaniem głównym bydlaków niedojrzałych do bycia rodzicami (dobrze im tak!); dla jeszcze innych kawałem świetnie napisanej literatury, którą czyta się w jedną, ale za to całą noc.

Zupełnie inaczej rzecz ma się z *Widmokręgiem*. Ci, których zgorszył *Gnój*, znajdują w nim ukojenie. Ci którym subtelniejszych odcieni brakowało nie odejdą zawiedzeni:

Widmokrąg to pięć opowiadań o miłości, podzielonych króciutkimi, przecednej urody, jak

sam autor je nazywa, interludiami; i znów temat miłości to mistrzowska polifonia tych najprostszych i najbardziej niezwykłych jej odcieni. Mamy więc tutaj wątek miłości homoseksualnej (fantastyczne, na wpół realne, na wpół komiczne opowiadanie *Żebra Adama*), miłość wobec śmierci, wobec choroby (jak w opowiadaniu *Królowa żalu*), nie zawsze nacechowana namiętnością, ale nawet wówczas zawsze trudna, skazana na niespełnienie, opuszczenie; odarta ta miłość z idylliczności, jest żywiołem niebezpiecznym, a tak wiele tu ciepła, dojrzałego, trochę smutnego piękna...

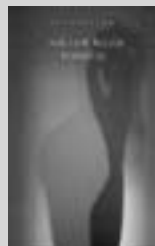
Do wszystkich atutów języka K. objawionych w *Gnoju* dochodzi tutaj czułość. Obdarowana nią została każda z postaci, a spora ich w Widmokręgu galeria.

W *Cielęcych tańcach* — opowiadaniu o inicjacji seksualnej młodego chłopca z góralką, ostacnym elementem cementującym uczucie jest podzielenie się wszami! Poprzez czułość właśnie najpiękniej i niezwykle skutecznie broni pan K. swoich bohaterów przed śmiesznością.

Literatura dała nam kolejne cudowne dziecko; nie trzeba go przedstawiać...

Irena

Wojciech Kuczok, *Widmokrąg*, WAB, Warszawa 2004



Czarownice, hobbity i piraci

KSIĄŻKA

Utwór literacki odgrywa znaczącą rolę w rozwoju społecznym, intelektualnym, moralnym dziecka, zachęca do podejmowania właściwych działań, czynienia dobra, poznawania prawdy, przyczyniając się w ten sposób do kształtowania postaw moralnych, umiejętności współżycia społecznego.

Równie ważną rolę odgrywa bohater literacki, który może przyczynić się do rozwoju osobowości młodego czytelnika, wskazywać właściwe wybory moralne. Autorka książki **Susanne Gaschke**, *Czarownice, hobbity i piraci*. *Najlepsze książki dla dzieci* twierdzi, iż: Kto czyta, uczy się myśleć; uczy się wczuwać w sytuację drugiego człowieka, rozumienia jego uczuć, rozumienia obcego; uczy się tworzenia z abstrakcyjnych znaków wewnętrznych obrazów; uczy się, jak te subiektywne obrazy ująć w powszechnie zrozumiałe słowa, by móc je jeszcze raz opowiedzieć. [...] *Czarownice, hobbity i piraci; Wyspa Robinsona, Dzieci z Bullerbyn* i zaczarowany internat Hogwart, zbójcecka jaskinia i niewidzialne królestwo; napięcie, przygoda, cierpienie, zmartwienie, potworne niebezpieczeństwa, dzielni bohaterowie, wielkie przeżycia i maleńkie troski, znane każdemu z własnego dnia powszedniego. W książkach czytelnik z jednej strony odnajduje się na nowo, z drugiej zaś – odgrywa inne, obce, podniecające światy, do których wkracza i które opuszcza według własnego upodobania.”

Gaschke w swojej książce przedstawia streszczenia blisko 100 najpiękniejszych książek dla dzieci. Celem autorki nie było ustalenie „kanonu” literatury dziecięcej, gdyż jej zdaniem wybór książek jest subiektywną sprawą. Jak napisała sama autorka: „W niniejszej książce chodzi bowiem o radość czytania, o szczęście płynące z czytania.”

Książka ta to nie tylko wskazówka dla osób dorosłych, po jaką literaturę dla dzieci sięgać. Pozwala nam samym odkryć, poznać, docenić tę literaturę, aby móc przedstawić ją dzieciom. Dzięki licznym

historyjkom i wspomnieniom autorki ta książka o książkach stała się dla mnie podróżą w świat marzeń i fantazji mojego własnego dzieciństwa, które dzięki mojej mamie wypełnione było książkami. Za sprawą autorki przypomniałam sobie, że kraina baśni znajduje się – wszędzie i nigdzie – gdzieś „za siedmioma górami i siedzioma lasami”, że świat bajek i baśni był kiedyś moim światem, że opowieści kończące się słowami „żyli długo i szczęśliwie” napawały mnie radością, a utwory takie jak *Kubuś Puchatek* **A. Milne’a**, *Baśnie braci Grimm* czy *Andersena*, *Alicja w krainie czarów* **Carrolla** to kopalnia ukrytych znaczeń i inspiracji.

Rzadko czytuję literaturę dziecięcą. Dość mam problemów z nadążaniem za ogromną ilością tej dla dorosłych (mimo, iż jestem mołem książkowym). Jednak zachęcona przez autorkę sięgnęłam po ulubioną książkę dzieciństwa *Anię z Zielonego Wzgórza*.

Być może dzięki tej książce znajdziecie coś wymarzonego dla swoich dzieci, braci, wychowanków, bądź też odkryjecie coś dla siebie.

Ania

Susanne Gaschke, *Czarownice, hobbity i piraci*, M, Kraków 2004



Audioslave – Out Of Exile

MUZYKA

AUDIOSLAVE — supergrupa, która powstała z połączenia muzyków z grona, kilku bardzo ważnych amerykańskich zespołów rockowych poprzedniej dekady. Wokalista Chris Cornell — członek nieodżałowanego Soundgarden oraz panowie Tom Morello, Brad Wilk i Tim Commerford z niemniej opłakiwanego Rage Against The Machine. Dorobek i багаż doświadczeń obu tych grup był nieoceniony w poprzedniej dekadzie. Nic dziwnego, że powstała niesamowita fuzja. Debiutancka płyta nowej grupy, Audioslave szybko pokryła się platyną, a grupa jeździła pół świata, promując ją na koncertach.

Trzy lata później otrzymujemy nowe dzieło Audioslave zatytułowane *Out Of Exile*. Dwanaście nowych utworów potwierdza jedynie, że nie jest to zespół jednej płyty. Całość otwiera *Your Time Is Come* z charakterystycznym riffem Toma Morello. Mamy także urozmaicenia w warstwie kompozycyjnej. To już nie są wyłącznie mocne „morellowe” riffy (*Be Yourself, Doesn't Remind Me, Yesterday To Tomorrow*), a i Cornell pokazuje również inne formy operowania wokalem (*Out Of Exile, The Worm, Man Or Animal*). Słychać inspiracje klasyką spod znaku The Beatles (*Doesn't Remind Me*), Led Zeppelin (*Dandelion*), czy punk rockiem (*Man Or Animal*).

Teksty? Bardzo charakterystyczne dla Cornella. Wystarczy posłuchać znanego z singla utworu *Be Yourself: ...omeone falls to pieces/Sleeping all alone, someone kills the pain*. W tekstach pojawia się wiele tematów egzystencjalnych, emocjonalnych i mitosnych.

Out Of Exile, pokazuje jeszcze dojrzsze oblicze Audioslave. Słychać, że muzycy się ze sobą bardziej zgrali. Kompozycje są bogatsze aranżacyjnie, niż na pierwszej płycie. Chris Cornell jest jak wino — im starszy tym lepszy. Mimo specyficznej manieri śpiewania (nosowo) i zamiętowania do stylu wokalnego Roberta Planta, udowadnia, że nadal ma mocny głos. Z kolei wydaje się, że Tom Morello

otworzył się na inny sposób pisania muzyki — delikatniejszy i bardziej selektywny. Sekcja rytmiczna w postaci Brada Wilka i Tima Commerforda też poczyną sobie ciekawiej, niż np. w czasach Rage Against The Machine. Wszystko oczywiście zweryfikują kolejne koncerty grupy. Tym niemniej płyty *Out Of Exile* warto posłuchać, bo jest to kawał porządnego i rasowego rocka.

Maciek Majewski

Audioslave, *Out of exile*, Universal Music 2005



Fisz/Envee – „Fru!”

MUZYKA

Po roziprowizowanej i halucynogennej płycie koncertowej *Na żywo w Mózgu* nagranej z *Tworzywem Sztucznym*, Fisz powraca z nowym projektem. Album *Fru!*, nagrany wraz z djejem, producentem i członkiem kolektywu djskiego „Niewinni Czardziejcie — Envee”, jest kolejnym przykładem poszukiwań muzycznych Fiszka. Panowie po raz pierwszy spotkali się podczas pracy nad remiksem utworu *Tysiąc pięćset sto gwiazd Tworzywa Sztucznego*. Współpraca okazała się na tyle owocna, że artyści postanowili nagrać całą płytę.

Fru! przynosi 17 nieszablonowych kawałków. Są to zarówno stare, jak i nowe pomysły Fiszka. Specyficzne bity *Envee* pokazują różnorodność inspiracji: od oldschoolowego hip hopu przez nu-jazz, aż po down tempo. Wykorzystując różne instrumenty perkusyjne i elektroniczne, *Envee* prezentuje mistrzowską żonglerkę różnymi stylami muzycznymi. Wspomagany w kilku utworach żeńskimi wokalami *Izy Kowalewskiej* i *Marii Peszek*, Fisz rapuje ze swoją charakterystyczną manierą. Bawiąc się słowem, wyrzuca z siebie potok słów, czasem nawet z dużą szybkością. Jego teksty, jak zwykle wypełnione są humorem, ironią i przedstawiają jego punkt widzenia wobec różnorodnych zjawisk społecznych. Artysta opisuje współczesną modę i ironizuje na temat nowoczesnego stylu życia. Wyraża się również na temat polityków w utworze *Do Pani*, w kawałku *Kręcioł*, nagrany z gościnnym udziałem *Małego Ziomka*, wyśmiewa regułę zwartego i równego rymowania przez hip-hopowych mc's. Cały numer jest powolny i śmieszny.

Moimi faworytami na płycie są: *Chodźmy w deszcz* – z rewelacyjnym, kopiającym elektro-bitem i dancehallowymi clapami, *Tłusty bit*, okraszony ciężkim bitem *Envee*, ze skatowanym głosem *Izy Kowalewskiej* w tle i charakterystycznym refrenem Fiszka (jak taki długi, chudy człowiek może zagadać tak tłusty bit?) oraz singlowy *Kryminalny Bluez* z zniekształconym wokalem Fiszka i podkładem inspirowanym starą szkołą hip hopu. Wyróżniają się także *Ziółko* z podkładem w stylu muzyki disco

z lat 80. oraz *Pan Trup* ze świetnym, bujającym bitem. Śmiesznie wypadają na płycie przerywniki tzw. skity. Najlepszym jest *Sanszajn*, z mocno zniekształconym wokalem Fiszka i gitara akustyczną. Płytę *Fru!* bardzo dobrze się słucha.

Dla tych, którzy znają twórczość Fiszka, będzie to kolejna świetna pozycja. Ci, którzy nie mieli jeszcze do czynienia z jego muzyką z pewnością mogą zacząć od *Fru!* zapoznanie się z jego dyskografią.

Maciek Majewski

Fisz/Envee, *Fru!*, Sony Music 2005



System Of A Down – Mezmerize

MUZYKA

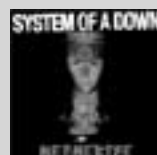
Ogromny sukces płyty „Toxicity” doprowadził grupę SYSTEM Of A DOWN do pierwszej ligi czwórkowych metalowych formacji na świecie. Czwórka Ormian, mieszkająca na stałe w Los Angeles, stworzyła unikatowe, agresywne brzmienie, czerpiące przede wszystkim z klasyki trash metalu, a jednocześnie wykazujące wiele cech punk rocka. Dodatkowym atutem są inspiracje sztuką ormiańską, która przejawia się głównie w sposobie śpiewania wokalisty zespołu — Serja Tankiena. To wszystko sprawia, że System Of A Down jest wyjątkową kapelą na współczesnej scenie heavy-metalowej.

Właśnie ukazała się nowa płyta grupy, zatytułowana *Mezmerize*. Jest to „owoc” sesji nagraniowych z producentem Rickiem Rubinem, znanym ze współpracy ze Slayerem, Metalliką i Red Hot Chili Peppers. *Mezmerize* zawiera jednak tylko część kompozycji zarejestrowanych podczas pracy w studiu. Materiału powstało bowiem znacznie więcej. Ma on zostać wydany na kolejnej dużej płycie pt. *Hyponotized* już jesienią. *Mezmerize* zawiera 11 kompozycji, liczących w sumie ponad 36 minut. Otwierające płytę intro *Soldier Side* ma w sobie coś z klimatu „późnobeatlesowskiego”. Delikatny śpiew Serja Tankiena i gitarzysta Darona Malakiana, przywołuje wspomnienie o duecie Lennon/McCartney. Dalej jest już „systemowo”. Singlowy *B.Y.O.B* oprócz zainspirowanego klasycznym trashem riffu, kojarzącego się chociażby z twórczością Megadeth, zawiera także kilka niespodzianek w postaci zmiennego sposobu gry i różnego tempa. Oto mamy bardzo szybką jazdę, która płynnie przechodzi w spokojniejszą i właściwie... popową część. Pojawia się w niej tekst: *Everybody's going to the party have a real good time/Dancing in the desert blowing up the sunshine*. Przy tekście (z wszechobecnym pytaniem *Why do they always send the poor?*, skierowanym do możliwych, rządzących światem), taka spokojna wstawka jest zaskoczeniem. Kolejny utwór *Revenga* – rytmiczny, z bardzo dynamicznymi fragmentami, wypełnionymi firmowymi, ultraszybkimi wokalami Serja i spokojniejszymi partiami

Darona. Po nim następują ponad dwuminutowa jazda w postaci utworu *Cigaro*, a zaraz potem *Radio/Video* z refrenem, który kojarzy się nieco... z *Nieustannym Tangiem* Republiki! W kolejnym dwumintowym *This Cocaine Makes Me Feel Like I'm On This Song* znów słyhać inspiracje klasyką. Riff bardzo podobny do tego, który pojawia się pod koniec kawałka *My Friend Of Misery* Metalliki – skądinąd świetny. Następnie *Violent Pornography*, podobnie zbudowany do *Revenga*, wyróżnia bas oraz rytm stopy perkusyjnej. To kolejny kawałek zaśpiewany wspólnie przez Serja i Darona. Po nim nieco spokojniejszy (do czasu) *Question!* – piękny utwór. Muzycy utrzymali tutaj idealną harmonię pomiędzy wściekłością i delikatnością. *Sad Statue*, to typowy kawałek dla System Of A Down. Szalejący, wręcz punkowy riff na wstępie i nieco delikatniejsze partie środkowe. W *Old school Hollywood* pojawia się po raz pierwszy (i ostatni na tej płycie) żywa elektronika w postaci zmodyfikowanego wokalu i brzmienia klawiszy. Słowa *Old school Hollywood, washed up Hollywood* zapadają w pamięć. Płytę zamyka spokojny *Lost In Hollywood* z wysuniętym na pierwszy plan wokalem Darona, wspomagany przez Serja. To kolejny utwór, krytykujący amerykańską Krainę Snów, zwieńczony słowami *You should've never trusted Hollywood*. *Mezmerize* z pewnością przypadnie do gustu fanom System Of A Down. Grupa brzmi znacznie dojrzalej, niż na *Toxicity*. Wyczuwa się ogromny wkład pracy muzyków. To dobrze rokuje na przyszłość. Mimo zróżnicowania stylistycznego w wielu momentach, to wciąż brzmi, jak System Of A Down. Z niecierpliwością czekam na jesienną premierę *Hyponotized*.

Maciek Majewski

System of the down, *Mezmerize*, American 2005



W niedzielę nie ma nas w domu

Zapomniany w czasach „komuny” pojazd zwany rowerem od kilku lat dzięki tzw. „góralom” przeżywa swoją drugą młodość. Jednym zaspokaja potrzeby komunikacyjne, będąc tanim, ekologicznym i często najszybszym środkiem komunikacji w mieście. Innym służy zaś do celów rekreacyjnych. Również lekarze już dawno docenili zdrowotne wartości jazdy na rowerze. Powinniśmy o tym pamiętać, szczególnie dziś, gdy dużo czasu spędzamy przed ekranem komputera czy telewizora. Dla celów rekreacyjnych wytyczono w Rybniku i okolicy 15 specjalnie oznaczonych tras rowerowych. Trasy te będą przez tereny atrakcyjne przyrodniczo i krajobrazowo. Prowadzą obok licznych zabytków architektury.

Pierwsza znakowana trasa rowerowa powstała w Rybniku w czerwcu 1998 roku i oznaczona została przez Fundację *Ekoterm Silesia*. Liczyła wówczas 8,50 km. Trasę tę otworzył, jadąc na rowerze, ówczesny prezydent miasta Józef Makosz. Dziś dzięki działaniom naszego magistratu sieć tras rowerowych osiągnęła już długość ponad 120 km i to jeszcze nie koniec.

Jako pierwszą przedstawiam Wam niezbyt długą, ale za to atrakcyjną przyrodniczo trasę. Jej długość to 5,70 km, a nazywa się *Szlak im. Oskara Michalika*. Nazwa została nadana na cześć znanego przyrodnika. Trasa rozpoczyna się na Rybnickich Błoniach obok mostu na rzece Rudzie. Oznakowana jest kolorem czerwonym. Od mostu wraz z trasą niebieską i zieloną ulicą Stawową prowadzi aż do lasu. Po przejechaniu 1,50 km mijamy spory staw z zalesioną wysepką, a wokół niego możemy podziwiać mnóstwo ptactwa wodnego. Dalej jedziemy lasem aż do skrzyżowania dróg. Tu „opuszcza” nas szlak zielony. My wraz z niebieskim skręcamy w lewo i po chwili dojeżdżamy do wiaduktu kolejowego. Pod wiaduktem spotykamy

stanowisko Dziewięcisa – magicznej rośliny Słowian (chroniona). Jej nazwa ma swój rodowód w legendzie o czarodziejskich dziewięciu siłach, którymi roślina ta ma się odznaczać.

Za wiaduktem opuszczamy szlak niebieski i jedziemy na wprost, a po przejechaniu około 100 m ostro skręcamy w prawo. Następnie dojeżdżamy do małego skrzyżowania i skręcamy w lewo. Podjeżdżamy kawałek pod górkę i wjeżdżamy na szlak dojsciowy, który doprowadzi nas do celu wycieczki – pomnika przyrody, Głazu Oskara Michalika. Głaz Michaliko- wy to najważniejsze odkrycie naszego przyrodnika Oskara. Jest granitognejsem o szaro-różowej barwie, zbudowanym głównie z kwarcu, skalenia i biotyту. Stanowi największy na naszym terenie obiekt przyrody nieożywionej i jeden z największych na Śląsku tego typu obiektów. Jego podstawowe wymiary to: obwód 760 cm, szerokość 180 cm i długość 285 cm. Od głazu, tym samym szlakiem powracamy na trasę i pniemy się pod górę. Dalej podążamy dość szeroką drogą leśną, a następnie krętymi drózkami dojeżdżamy do dużego stawu. Mijamy go z prawej strony i po chwili docieramy do rozległej polany. Jest to miejsce zwane *Karnatowcem*. Niegdyś na tym terenie biwakowali harcerze. Dziś rozstawianie namiotów i palenie ognisk jest tu zabronione. Opuszczamy pole biwakowe, skręcamy w prawo i podążamy do widocznej już w oddali gajówki *Karnatowiec*. Przed nią mijamy kapliczkę poświęconą św. Hubertowi. Do gajówki często zaglądał przyrodnik Oskar Michalik, a w jej pobliżu założył i pielęgnował mały ogród botaniczny. W ogrodzie znajdowało się aż 27 rzadkich gatunków roślin. Niestety ogród już nie istnieje. Przejeżdżamy obok gajówki i dalej pniemy się lekko pod górkę, dojeżdżając do pierwszych zabudowań wsi Przegędza. Tutaj szlak się kończy. Można stąd dojechać szlakiem czarnym do Żor lub Leszczyn.

Na tej krótkiej, ale ciekawej przyrodniczo trasie możemy świetnie wypocząć odkrywając po drodze wiele tajemnic rybnickiej fauny i flory. Miłośników spokoju i ciszy zachęcamy do pieszych i rowerowych wędrówek szlakiem Oskara Michalika.

Remigiusz Baliczak

Morawy i bramborowe knedliki...

Dlaczego Czechy? Jest wiele powodów, dla których powinniście się tam udać. Jeśli myślicie, że skoro są tak niedaleko, to nie mogą zbyt różnić się od naszego kraju, to nie do końca macie rację. Każdy, bez wyjątku, znajdzie tam coś dla siebie. I nie ma żadnej przesady w tym stwierdzeniu. Zamki, twierdze, pałace, zabytkowe i urokliwe miasta i miasteczka, przyroda, smażony ser, piwo, no i oczywiście największa atrakcja — Praga.

Sz szczególnie dla mieszkańców Śląska malownicze Morawy Północne powinny stać się bardzo przyjemną alternatywą dla zatłoczonego i zdeptanego Ustronia i Wisły. Czasami lepiej od razu zaoszczędzić sobie „przyjemności” stania w korku w drodze powrotnej z naszych Beskidów i wybrać czeskie przygranicze.

Już pierwsza miejscowość po przekroczeniu granicy w Chałupkach – Rakowcu (w Chałupkach kierować się na dworzec PKP) może stać się miejscem przyjemnego postoju. W **Šilheřovicach**, bo tak nazywa się ta miejscowość, natrafimy na wspinały zamek oraz piękny mały zameczek łowiecki położony w parku zamkowym (w zamku brak jest jakichkolwiek eksponatów, dlatego jego wnętrza doskonale nadają się na organizowanie przyjęć okolicznościowych). Asfaltową dróżką możemy dojść do zameczku łowieckiego, w którym zorganizowano stylową restaurację. W parku znajdują się dostępne dla wszystkich pola golfowe, a częstymi gośćmi grającymi tutaj w golfa są właśnie Polacy przyjeżdżający z nadgranicznych miejscowości.

Z Šilheřovic proponuję pojechać w kierunku Opawy, niemniej jednak nie wolno wam przegapić po drodze **Hluczyna**, gdzie znajduje się areal czechosłowackiej fortecy **Hluczyn – Darkowiczki**. Ten wyjątkowy, wojskowo-techniczny zabytek, ceniony w skali europejskiej, jest prezentacją by-



tego systemu fortyfikacyjnego Republiki Czeskiej. Był budowany w latach 1935-1938. Z pewnością zachwyci wielbicieli wszelkich pamiątek wojennych (można tutaj na przykład podziwiać z bliska wspinał zachowane czołgi).

Kiedy dojedziemy do drogi nr 56 Ostrava – Opava skręcamy w prawo i po około 12 km dojedziemy do kolejnego celu naszej wycieczki, miejscowości **Kravaře**. Wjeżdżając do miasteczka należy kierować się dalej główną drogą w kierunku Opawy, a następnie skręcić w lewo w kierunku zamku, zgodnie ze wskazaniem znaku. Powodów, dla których powinniśmy się tutaj zatrzymać, choćby tylko na chwilę, jest kilka. Pierwszym z nich jest na pewno wspomniany już wyżej, owiany tajemniczą aurą zamek, który został zbudowany w stylu barokowym w latach 1721-1728 i jest jednym z najcenniejszych zabytków Północnych Moraw tej epoki. Zamek posiada bardzo ładny dziedziniec wewnętrzny oraz kilka sal wyposażonych w barokowe meble. Do zamku przylega kaplica p.w. Św. Archaniola

Michała z pięknym ołtarzem i freskami. Wokół budowli znajduje się rozległy park w stylu angielskim o bardzo cennym drzewostanie, w którym podobnie jak w Šilheřovicach zorganizowano pola golfowe. Spacer obowiązkowy! W zamku znajduje się także restauracja, w której można zjeść, za całkiem przystępną cenę, smaczny obiad i napić się dobrego piwa. Zamawianie posiłków ułatwiają zamieszczone w jadłospisie kolorowe zdjęcia wszystkich serwowanych dań, co jest sygnałem, że jesteście w lokalu „nastawionym” na turystów. Dlatego osobiście zachęcam do tego, żeby zrobić sobie, krótki spacer do głównej drogi i udać się do tradycyjnej czeskiej gospody (hospoda lub hostinec). Tylko w lokalu, w którym stoły przykryte są obrusem lub ceratą, ściany obite drewnianą boazerią, a sufitowy wentylator nie jest wstanie rozwiać gęstniejącego dymu papierosowego, możecie zjeść smaczne i co najważniejsze, tanie dania tradycyjnej kuchni czeskiej. Smażony ser (smažený syr), wołowina z kapustą (vepro z zelo), polędwica

w śmietanie (svickova na smetane), a do tego do wyboru frytki (hranolky), knedliki bułczane lub ziemniaczane (houskove lub bramborove knedliky), bądź kromki ziemniaczane (bramborove kromky). To potrawy, które powinniście skosztować w pierwszej kolejności. Nie zmotoryzowani turyści muszą oczywiście do tego zamówić wyborne piwo z wysoką pianką (Pilsner Urquell, Staropramen, Radegaste, Velvet itd.).

Najedzeni i usatysfakcjonowani będziecie być może chcieli udać się już w drogę powrotną, ale tych bardziej aktywnych gorąco zapraszam do dalszego podążania szlakiem zamków i pałaców Moraw oraz spenetrowania samowolnego państwa turystycznego – Królestwa Wołowskiego. Pozwólcie się mile zaskoczyć!

Życzę szerokiej drogi, wspaniałych wrażeń z obcowania z kulturą naszych południowych sąsiadów oraz niezapomnianych doświadczeń kulinarnych!

ŁP



Dokąd płyną Rekiны?

Rozpoczął się kolejny sezon żużlowy. Niestety, rybnickim żużlowcom i kibicom przyszło powrócić do szarej, pierwszoligowej rzeczywistości. Podczas meczów na pięknym, wyremontowanym stadionie zabraknie w tym roku największych tuzów światowego żużla oraz czołowych polskich żużlowców. Uzdolnione pokolenie rybnickich zawodników, zamiast podnosić swoje umiejętności rywalizując z Gollobem czy Rickardssonem, zmagać się będzie z krajowymi przeciętniakami i zawodnikami zagranicznymi, którzy nie znaleźli się w elitarnym cyklu GRAND PRIX.

Na co stać młodych-gniewnych rybniczian? Czy będą w stanie powrócić do grona najlepszych? Te pytania zadaje sobie z pewnością wielu rybnickich kibiców. Ja ciągle zastanawiam się jednak nad czym innym. Czy naszym zawodnikom zależy tak naprawdę na startach w ekstraklidze? Gdzie sięgają ich sportowe ambicje? Czy naprawdę zależy im na podnoszeniu swoich umiejętności? Wątpliwości i pytań jest wiele. Niestety nie są one bezpodstawne.

Wszyscy podopieczni **Jana Grabowskiego** ze „złotej”, młodzieżowej drużyny weszli już w wiek seniora. Jak na razie nie spełniają jednak pokładanych w nich nadziei. W sezonie 2004 ekstrakligowy egzamin zdał tylko **Roman Chromik**. Roman w kilku spotkaniach pokazał klasę, zdołał awansować do finału Indywidualnych Mistrzostw Polski oraz z bardzo dobrej strony zaprezentował się w lidze duńskiej. Znacznie gorzej było z innymi zawodnikami młodego pokolenia. **Rafał Szombierski** i **Łukasz Romanek** walczyli przyczynili się do spadku z ekstraklasy będąc najstarszymi żużlowcami rybnickiej drużyny, a **Zbigniew Czerwiński** w Częstochowie w swoim pierwszym roku startów jako senior uzyskał równie słabe wyniki co koledzy.

Sezon 2005 dla młodych seniorów RKM-u jest okresem prawdziwej próby. Po odejściu **Węgrzyka** i **Staszewskiego** to na ich barkach spoczywa ciężar walki o ligowe punkty. W mojej opinii bieżący sezon jest dla nich ostatnią szansą na dołączenie do grona najlepszych w kraju. Za rok, dwa będzie już za

późno. Pociąg do stacji czołówka polskiego żużla odjedzie bezpowrotnie w sińą dal. To czy Rekiны podotają wyzwaniom pokaże czas. Wyniki pierwszych spotkań i pewne zawirowania w okresie zimowym pokazują, jak trudno będzie spełnić młodej rybnickiej drużynie oczekiwania kibiców.

Martwy sezon w rybnickim klubie przebiegał w cieniu dyskusji na temat kontraktów zawodników. Bardzo długo z podpisaniem umów zwlekła dwójka najstarszych zawodników sezonu 2004. Zamiast posypania głowy popiołem kibice byli świadkami typowego dla rozkapryszonych, sportowych „gwiazd” zachowania – dużo chcieć i brać, a od siebie samego niewiele wymagać. Szombierski swoimi wypowiedziami w prasie po raz kolejny potwierdził, że nie rozumie na czym polega zawodowy sport. Niestety rybniccy działacze znów puścili płazem niewłaściwe zachowania młodego żużlowca. Który to już raz? Oczekiwanie na podpisanie umowy przez Romanka pokazało słabość zarządu – brak jakiegokolwiek alternatywy dla marudzących i wymyślających wychowanków klubu. O tym, że młody żużlowiec niewiele wnosi do drużyny pokazał mecz z Opolem. Trzy punkty zdobyte przez Łukasza lepiej pozostawić bez komentarza. Rywal słaby, a wynik Romanka jeszcze gorszy. Szombierski zawiódł w meczach w Rzeszowie i Gorzowie, nie pojechał na turniej eliminacyjny do Indywidualnych Mistrzostw Europy. Podobno był chory. Trochę to dziwna sytuacja, bo po kilku dniach wystąpił w meczu ligowym. Z resztą Rafał nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz opuścił z powodu „choroby” ważne eliminacje. Inną specjalnością tego zawodnika jest opuszczanie treningów w okresie zimowym. Ale to już norma, a nad stanem normalnym nie ma co się rozpisywać, lepiej przejść obok niego obojętnie.

Sprawa lig zagranicznych to kolejny temat do dyskusji. Dlaczego młodych rybniczian nie „ciągnie” do Wielkiej Brytanii, Szwecji, Danii czy nawet Czech? Tylko Chromik podpisał kontrakty na starty w Danii i Niemczech. Ale to wyjątek potwierdzający regułę. Pytanie tylko czy Dania i Niemcy to właściwy wybór. Przecież nie od dziś wiadomo, że najlepszą

szkołą jazdy są ligi: brytyjska i szwedzka. Za granicą startują „wszyscy”, nawet przeciętni żuźlowcy z zaplecza ekstraklasy. Wystarczy wspomnieć **Piotra Dyma** czy **Adama Pietraszkę** – pierwszoligowych wyrobników, którzy udali się po naukę na Wyspy Brytyjskie. W pierwszej i drugiej lidze szwedzkiej startują między innymi zawodnicy z Gorzowa, Rzeszowa, Ostrowa – klubów będących głównymi rywalami rybniczian w walce o awans. Dlaczego w ligach brytyjskiej i szwedzkiej nie ma wychowanków RKM-u? Nie chce im się, nie mają motywacji? A może nie potrafią się porozumieć ze swoimi zagranicznymi pracodawcami, zamówić biletu na prom czy samolot? Były mistrz Polski juniorów na łamach lokalnej prasy powiedział, że angielskiego będzie się uczył, kiedy podpisze kontrakt na Zachodzie. Ciekawe podejście. Należy życzyć powodzenia. Brak zainteresowania podnoszeniem swoich umiejętności poprzez częste starty z najlepszymi na trudnych technicznie torach może wynikać z niedostatku ambicji. Być może zadowolenie, że jest się tzw. lokalną gwiazdą przysłania młodym rybniczianom potrzebę sportowego rozwoju, konfrontowania się z najlepszymi. Jest kasa, są zwycięstwa nad Opolem czy Krosnem, znaczy się jest dobrze. Po co gnać we wtorek do Szwecji, w inne dni tygodnia na Wyspy Brytyjskie skoro można co piątek potrenować na rybnickim obiekcie – przygotować się do starcia z **Wilkiem**, **Pawliczkiem** lub innymi „asami”. Rafał Szombierski odniósł dwa spektakularne sukcesy na arenie międzynarodowej. Jego brązowy medal Indywidualnych Mistrzostw Świata Juniorów i Indywidualnych Mistrzostw Europy pamiętają wszyscy kibice rybnickiego żużla. Dlaczego utalentowany jak mało kto żuźlowiec nie potrafił wykorzystać swoich sukcesów, czemu tak fatalnie zaprezentował się w zeszłym roku na torach szwedzkiej Elitserien pozostanie jego tajemnicą. Może nasi młodzi zawodnicy potrzebują więcej czasu, żeby zamienić sukcesy juniorskie na zwycięstwa w „dorostym” żużlu? Może. Choć jak patrzy się na ich rówieśników z innych klubów to nie można się oprzeć wrażeniu, że rybniczanie marnują czas, rozdrabniają swój talent na drobne. Wystarczy spojrzeć na młodych wrocławian. Sroga lekcja jakiej drużyna WTS-u udzieliła RKM-owi rok temu nie była dziełem przypadku. **Gapiński**, **Świderski**, **Miśkowiak** nie wspominając,

o **Hampelu** patrzą dalej, inwestują w siebie, jeżdżą z najlepszymi w Polsce, za granicą. Wygrywają, przegrywają, ale co najważniejsze ciągle podnoszą swoje umiejętności w starciach ze światową czołówką. Mam wrażenie, że dystans między nimi, a rybnickimi talentami z miesiąca na miesiąc się powiększa. Powodem tego nie jest bynajmniej wielka różnica w umiejętnościach, ale kolosalna różnica w mentalności, w podejściu do wykonywania swoich obowiązków. Niestety patrząc na poczynania, decyzje naszych żuźlowców trudno dostrzec w nich syndromy profesjonalizmu. Oczywiście zdarzają się wyjątki, o których już wspomniałem, ale w sumie rybnickim żuźlowcom dużo brakuje do pełnego żuźlowego profesjonalizmu. Byłbym zapomniiał. RKM pokonał Krosno, Opole, Lublin. Zwycięstwa cieszą, ale nie mogą one rozwiązać moich wątpliwości i przysłonić dość przygnębiającego wizerunku rybnickich żuźlowców. Tytułowe pytanie pozostaje wciąż aktualne. Dokąd płyniecie młode Rekiny?

Wiem, że niektóre zdania w moim artykule zabrzmiały gorzko, może zbyt ostro. Nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że jestem przeciwnikiem Rybnickiego Klubu Motorowego, jego działaczy czy zawodników. Wręcz przeciwnie. Od prawie dwudziestu lat cieszę się ze zwycięstw i przeżywam porażki naszych żuźlowców. Kiedy sukcesy zaczęły odnosić podopieczni trenera Grabowskiego byłem pewien, że nadchodzą tłuste lata dla rybnickiego żużla. Teraz nie jestem tego już tak pewien. Powiem więcej, zaczynam w to wątpić. Chciałbym, żeby moje wątpliwości rozwiali sami zawodnicy. Nie przez polemikę z tym artykułem, ale przez swoją jazdę, profesjonalne podejście do sportu, sportowe osiągnięcia. Sukcesy, tak sukcesy i zwycięstwa będą najlepszą odpowiedzią na wątpliwości płaczące się w głowie zwykłego, wiernego fana rybnickiej drużyny.

Kończąc pozostaje mi życzyć wszystkim kibicom RKM-u tego aby rybnickie Rekiny wyłyły kiedyś na szerokie wody krajowego i światowego żużla, a nie osiadły na mieliznach przeciętności.

Jacek Prochasek







Foto: Krzysztof Liszka

konkurs

Zastanawiacie się pewnie, dlaczego nasz magazyn nie ma tytułu. Odpowiedź jest prosta. Nie ma, ponieważ postanowiliśmy ogłosić konkurs. Chcemy dać WAM szansę uczestniczenia w powstawaniu naszej, lokalnej gazety, kreowaniu jej wizerunku. Tworzymy ją przecież dla WAS. Do dzieła Czytelniku. Niech twoja wyobraźnia zadziała, a efektem tego niech będzie tytuł naszego magazynu.

Oto zasady konkursu:

1. Tytuł nie może być długi (najlepiej jedno lub dwuwyrazowy, góra trzy bardzo krótkie wyrazy).
2. Nazwa nie musi, ale może być kojarzona z Rybnikiem.
3. Do tytułu musi być dodana informacja, która w sposób wyczerpujący uzasadni Twój wybór, innymi słowy musisz nas przekonać do swoich racji (notka wraz z nazwiskiem i krótką informacją o zwycięzcy zostanie opublikowana w następnym numerze).
4. Pamiętajcie! Nazwa naszego magazynu musi być WYJĄTKOWA I NIEPOWTARZALNA (najlepiej sprawdzić w wyszukiwarce google, czy nazwa przez was wymyślona już nie istnieje). Tytuł, który wygra będzie wraz z pierwszym numerem wystany do Biblioteki Narodowej i tam, jeżeli wszystko będzie zgodne z prawem, nadany zostanie numer identyfikacyjny, czyli ISSN.

Na zwycięzcę czekają książki ufundowane przez rybnicki EMPIK.

Na Wasze propozycje czekamy do 20 lipca. Tytuł wraz z uzasadnieniem przesyłajcie na adres elektroniczny: redakcja@fundacja.rybnik.pl lub pocztowy: Fundacja Elektrowni Rybnik ul. Podmiejska 1 44-207 Rybnik (z dopiskiem KONKURS)

POWODZENIA! TRZYMAMY KCIUKI!



MUZYKA



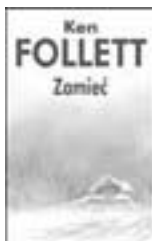
Audioslave

Out Of Exile

Audioslave to wszystko, co najlepsze z *Rage Against The Machine* plus niesamowity głos Chrisa Cornella z Soundgarden. Obok charakterystycznych

ostrzych riffów Toma Morello, na albumie *Out Of Exile* usłyszymy także kilka nowych elementów i niespodziewanych rozwiązań. Jedno jest pewne, płyta wpisuje Audioslave do grona największych rockowych zespołów świata!

KSIĄŻKA



Ken Follett

Zamieć

Oxenford Medical, niewielka szkoła farmaceutyczna założona przez znanego mikrobiologa Stanleya Oxenforda, prowadzi badania nad zabójczymi wirusami, poszukując skutecznych szczepionek. Od pozytywnego wyniku testu nowego leku

antywirusowego zależy jej ekonomiczna przyszłość.

FILM



Marzyciel

Reżyseria: FORSTER MARC

Obsada: DEPP JOHNNY, WINSLET

KATE

Wzruszające dzieło Marca Forstera opowiadające o kulisach powstawania jednego z najpopularniejszych utworów dla dzieci, *Piotrusia Pana*. Akcja filmu rozgrywa się w edwardiańskim Londynie w 1903 roku. Bohaterem jest szkocki pisarz James Matthew Barrie. JM Barrie, pisarz u szczytu literackiej kariery, szuka natchnienia do pracy nad nową książką. Spotkanie czarującej damy, matki czwórki chłopców, pozwoli mu odnaleźć inspirację dla swojej twórczości. Muzykę do filmu skomponował mieszkający w USA polski kompozytor, Jan A.P. Kaczmarek.

Ania

23 wiosny, studiuje pedagogikę. Ma wyobraźnię Ani Shirley, humor Kłapouchego, kocha podróże jak Bilbo Baggins.

Beata Pyrek

rocznik 85; studiuje w Rybniku.

Bruno Bakke

rocznik 80; im bardziej życie wydaje mu się podte, tym bardziej czuje się do niego przywiązany; w trakcie studiów humanistycznych, wieczny „członek” życia teatralnego na Śląsku.

Gabriela Dąbek

mieszka w Rybniku, polonistka; interesuje ją magia książki, filmu, miejsc.

Hanna Honysz

rocznik 84; dla przyjaciół Hanka; studentka historii i socjologii rybnickiego campusu; kocha góry, zwierzaki i wycieczki rowerowe; zainteresowania to: historia, psychologia, pedagogika, medycyna; od urodzenia mieszkanka Rybnika, Kochająca „Małą Ojczyznę”.

Irena

absolwentka wydziału Polonistycznego na Uniwersytecie Jagiellońskim, specjalizacja teatr; obecnie pracownik teatralny.

Jacek Prochasek

informatyk o humanistycznym zacięciu.

Katarzyna Dera

absolwentka kulturoznawstwa UŚ; w niedługim czasie (ma nadzieję!?) absolwentka Public Relations UJ; jej pasją jest teatr i szeroko rozumiane media.

Krzysztof Liszka

szeft klubu fotograficznego *Format* Fundacji Elekrowni Rybnik.

ŁP

z wykształcenia politolog; z zamiłowania podróżnik.

Maciek Majewski

rocznik 84; student dziennikarstwa i komunikacji społecznej; oprócz zmysłu wrażliwości pojawiło się u niego schorzenie – miłość połączona z pasją do muzyki.

Małgorzata Mojżysz

filozofia i kulturoznawstwo – (w niedalekiej przyszłości grafika komputerowa).

Marzyciel

absolwent kulturoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego (specjalizacja Teatr); obecnie pracownik teatralny.

Meruś

rocznik 85; studiuje w Rybniku.

Paulina Krzysztoporska

rocznik 85; studiuje polonistykę w Rybniku.

Remigiusz Baliczak

długoletni działacz turystyczny; obecnie vice prezes rybnickiego PTTK-u; instruktor ochrony przyrody, przewodnik turystyki kwalifikowanej; uprawia kolarstwo i turystykę pieszą; jest fotografem – krajoznawcą.

Robert Rybicki

długoletni współpracownik *Plamy*; w 2003 roku wydał tomik wierszy *Epifanie i katatonie*; w druku kolejny tomik *Motta robali*; krytyk, recenzent, tłumacz i literat wyróżniony nagrodą Prezydenta Rybnika 2005.

TeTe

ćwierćwiecze wiosen – za; studia (humanistycznie intensywne) po; metafizyka_gender & queer – cały czas; nieograniczona przestrzeń umysłu – doświadczając...

Wojciech Bronowski

wieloletni działacz kultury; nie sposób wymienić jego wszystkich osiągnięć; przyczynił się do powstania, m.in.: *Dni literatury*, *Silesian Jazz Meeting*, Międzynarodowego Festiwalu Orkiestr „Dętych” oraz *Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Artystycznej*; założyciel Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Ekran”, który prowadzi do dnia dzisiejszego.



V. NABOKOV
ZAPROSZENIE NA EGZEKUCJE

